ŁĄKA

BOLESŁAW LEŚMIAN

Bolesław Leśmian

Łąka

EUGENJUSZOWI ŚMIAROWSKIEMU POŚWIĘCAM

I

W ZWIEWNYCH NURTACH KOSTRZEWY

TOPIELEC

W zwiewnych nurtach kostrzewy, na leśnej polanie,
Gdzie się las upodobnia łące niespodzianie,
Leżą zwłoki wędrowca, zbędne sobie zwłoki.
Przewędrował świat cały z obłoków w obłoki,
Aż nagle w niecierpliwej zapragnął żałobie
Zwiedzić duchem na przełaj zieleń samą w sobie.
Wówczas demon zieleni wszechleśnym powiewem
Ogarnął go, gdy w drodze przystanął pod drzewem,
I wabił nieustannych rozkwitów pośpiechem,
I nęcił ust zdyszanych tajemnym bezśmiechem,
I czarował zniszczotą wonnych niedowcieleń,
I kusił coraz głębiej — w tę zieleń, w tę zieleń!
A on biegł wybrzeżami coraz innych światów,
Odczłowieczając duszę i oddech wśród kwiatów,
Aż zabrnął w takich jagód rozdzwonione dzbany,
W taką zamrocz paproci, w takich cisz kurhany,
W taki bezświat zarośli, w taki bezbrzask głuchy,
W takich szumów ostatnie kędyś zawieruchy,
Że leży oto martwy w stu wiosen bezdeni,
Cienisty, jak bór w borze, — topielec zieleni.

GWIAZDY

Tej nocy niebo w dreszczach od gwiazd mrugawicy
Kołysało swój bezmiar w sąsiednie bezmiary,
To w próżnię swe radosne unosząc pożary,
To zbliżając je znowu ku mojej źrenicy.

Patrzę, niby przez nagły w mej ślepocie wyłom,
A światy roziskrzone — zaledwo na mgnienie
Odsłaniają mym oczom, jak nieba mogiłom,
Dalekie, zatajone w srebrze ukwiecenie.

Odsłaniają swe jary, wzgórza i parowy,
Już z jednego szum borów płonących dolata,
Z drugiego — cisza grobów, a z trzeciego świata —
Krzyk o pomoc i zawiew południa lipcowy.

Zasłuchany, wpatrzony stoję tak do świtu,
Aż niebo wron zbudzonych przesłoni gromada,
Gwiazdy giną w jaśnistych roztopach błękitu,
I gąszcz rosy na rzęsach zbłyskanych osiada.

Skroń znużoną pochylam do stogu na łące,
Garścią rozćwierkanego rojem świerszczów siana
Rzeźwię oczy, smugami gwiazd jeszcze gorące,
I do snu odniałego padam na kolana.

I śni mi się i trwogą uderza do głowy
Krzyk o pomoc i zawiew południa lipcowy.

ODJAZD

Gdym odjeżdżał na zawsze znajomym gościńcem,
Patrzyły na mnie bratków wielkie, złote oczy,
Podkute szafirowym dookoła sińcem.
Był klomb i rój motyli i błękit przezroczy,
I rdzawienie się w słońcu dojrzałej rezedy.
A, gdy byłem już w drodze, sam nie wiedząc kiedy
I czemu — przypomniałem te oczy, przyziemnie
Śledzące mą zadumę i wpatrzone we mnie
Tem wszystkiem, czem się można wpatrzeć w świat i dalej.
Co widziały te oczy, nim w tysiącu alej
Zginąłem, jedną chatę rzucając za sobą?
I czemu z szafirową zawczasu żałobą
Patrzyły w ten mój odjazd po przez zieleń rdzawą
Rezedy, co pachniała, przytłumiona trawą?
I dlaczego te oczy były co raz łzawsze?
Czy nie wolno nic nigdy porzucać na zawsze
I zostawiać samopas kędyś — na uboczu?
Czy nie wolno odjeżdżać znajomym gościńcem
I oddalać się zbytnio od tych złotych oczu,
Podkutych dookoła szafirowym sińcem?

WIECZÓR

Słońce, zachodząc, wlecze wzdłuż po łące
Wielki cień chmury, ciągnąc go na wzgórza,
Zetknięte z niebem, co życie, gasnące
Pod barw przymusem, — w głąb marzeń przedłuża.
Aby dowidzieć po przez dale puste
Jedyną wokół purpurową chustę
Dziewczyny, która swych dłoni oplotem
Kolana zgodnie wgarnęła pod brodę
I, coraz bardziej pod niebios namiotem
Samotniejąca w tę dal i pogodę,
Oddawna ruchu i snu nie odmienia,
Chłonąc czar drętwy samego patrzenia
We wszystko naraz, w nic zasię zosobna,
Wpobok, zaledwo do siebie podobna,
Wyolbrzymiona wobec próżni świata,
Krowa się w świetle różowi łaciata,
Co jednym rogiem pół słońca odkrawa,
A drugim wadzi o daleką gruszę…
Sennych owadów nieprzytomna wrzawa
Umacnia pustkę i podsyca głuszę,
Wspartą na stogach, powiązanych w drągi.
Kolejne idą nad polem przeciągi
Tchu ziół dalekich, zaprawnego potem
Zoranej ziemi, co — tknięta wron lotem —
Paruje ciężko i chłodnieje zwolna.
Na widnokresie jakaś mgła dowolna,
Cień, nie mający przyczyn wśród przestworu,
Rośnie, by zwiększyć potęgę wieczoru,
I wśród rosnących z nim razem bezmiarów
Dziwnie brzmią zgiełki świerszczących komarów.

W POLU

Dwoje nas w ciszy polnego zakątka.
Strumień na oślep ku słońcu się pali,
W liściu, co trafił na krzywy prąd fali,
Wirując, płynie szafirowa łątka.

Nadbrzeżna trawa, zwisając, potrąca
O swe odbicie zsiwiałą kończyną,
Do której ślimak, pęczniejąc z gorąca,
Przysklepił muszlę swem ciałem i śliną.

W przerzutnym pląsie znikliwsza od strzały
Płotka się czasem zasrebrzy na mgnienie.
Pod wodą — spojrzyj! — prześwieca piach biały
I mchem ruchliwym brodate kamienie.

Czemu ci głowa na dłonie opadła?
To — pachnie trawa i ten piach pod wodą, —
To — wód, polśnione smugami, zwierciadła
Parują ciszą, blaskiem i ochłodą.

Tych kilku dębów po nad brzegiem liście
Podziurawione i przeżarte chciwie
Przez gąsienice, trwają tak przejrzyście
Nad własnym cieniem, co utkwił w pokrzywie.

Z tej tu pokrzywy czar dębowych cieni
Zgarnę ku piersiom, co na słońce dyszą,
Ustami dotknę bezmiernej zieleni,
Stęsknionej do mnie swym sokiem i ciszą.

Do kwiatów przywrę rozpalone czoło,
Wsłucham się w bąki grające i brzmiki,
I będę patrzał, jak lepkie gwoździki
Wśród jaskrów lśniącą ociekają smołą.

I będę patrzał, jak maki i szczawie
Mdleją, ciał naszych odurzone wonią,
I będę wodził twoją białą dłonią
Po wielkiej trawie, nieznanej nam trawie.

TĘCZA

Słychać go było, jak po młodem życie
Biegł coraz śpieszniej — ciepły deszcz majowy,
Zbryzgany słońcem, co przez obłok płowy
Wzdłuż mu kropliste rozwidniało nicie.

Pyląc, uderzył w piach drogi spróchniały,
Poszperał w krzaku, co lśniąc się kołysze,
Strącił liść z wierzby, przyciemnił głaz biały
I ustał, w nagłą zasłuchany ciszę.

Teraz mu patrzeć, jak wierzchem obłoku
Tęcza, bezmiary objąwszy, rozkwita,
Poprzerywana i niecałkowita,
Jakby się śniła zmrużonemu oku.

Aż, luźne znikąd jednocząc migoty,
Nagłą zawisa po nad światem bramą,
By ci przypomnieć, że zawsze tak samo
Trwasz w każdem miejscu u wnijścia tęsknoty.

By ci przypomnieć, żeś z duszą, snem zżartą,
Wpatrzony w bezmiar, wsłuchany w swe dreszcze,
Wszedł do tych światów przez bramę rozwartą,
Co się za tobą nie zamknęła jeszcze.

KOŃ

Koniu krzywy, koniu siwy,
Ozdobiony łachem grzywy,
Kocham zawiew zmydlonych twym potem rzemieni
I oddech, juchą parnej dymiący zieleni.

Łeb kościaty, ale krewki
Z wargą miękką, jak pierś dziewki,
Przewieś mi po przez ramię w rzewną bezrobotę,
Bym twarzą prężnej szyji wyczuwał ciągotę.

Koniu smutny aż do śmierci
Z białą pręgą lejc na szerci,
Zaprzyjaźnij się ze mną, jak to czynisz z wołem,
Wejdź do mojej chałupy, siądź razem za stołem.

Dam ci wody z mego dzbana,
Dam ci cukru, dam ci siana,
Dam bryłę szczerej soli, gleń świeżego chleba
I przez okno otwarte przychylę ci nieba.

Nie sęp oczu brwi sitowiem,
Powiem tobie, wszystko powiem!
A, gdy noc już nastanie, pozamykam dźwierze
I wspólnie odmówimy wieczorne pacierze.

STODOŁA

Tyś całował dziewczynę, lecz kto biel jej ciała
Poróżowił na wargach, by cię całowała?

Tyś topolom na drogę cień rzucać pozwolił,
Ale kto je tak bardzo w niebo roztopolił?

Tyś pociosał stodołę w cztery dni bez mała,
Ale kto ją stodolił, by — czem jest — wiedziała?

Stodoliła ją pewno ta Majka stodolna,
Do połowy — przydrożna, od połowy — polna.

Ze stu światów na przedświat wyszła sama jedna
I patrzyła w to zboże, co szumi ode dna.

WŚRÓD GIEORGINIJ

Wśród gieorginij — brzęczenie os.
Twoje-ż to kroki? Twój-że głos?
To — koniec lata, jeden z tych dni,
Gdy słońce blednie, a ogród lśni.

To chory półsen znużonych drzew.
Odwróć swe oczy, ucisz swój śpiew!
To — spija rosę ostatni znój, —
To — w cieniu twoim cień spoczął mój. —

PIERWSZY DESZCZ

Pierwsza z brzękiem zbudziła się mucha.
Pierwsze liście powypełzły z drzew,
I deszcz pierwszy wdudnia mi do ucha
Rozegrzmiały w błyskawicach śpiew.

Tego śpiewu zgruch i rozgruch długi
Któżby pojął, któż pochwyciłby?
Rozbrykane, rozwierzgane strugi
Miażdżą o ziem pluskające łby.

Już przy ziemi wrzask ich zaumiera,
A po niebie jeszcze dalej gna!
Chmura oścież w wszechświat się rozdziera,
Niema za nią kresu, ani dna!

Słońce, w szyby łzawiejąc odżdżone,
Po podłodze złoty wzburza łan,
I odbicia okien rozmnożone
Wprawia w kurze zruchomiałych ścian.

Ktoś rozepchnął furtę w mym ogrodzie,
Aż z odwrzaskiem runęła na błoń!
Nie wiem, kto to — lecz w porannym chłodzie
Błogosławię niewiadomą dłoń.



Oto słońce przenika światłem bór daleki,
Sosnom z nieba podając tajny znak wieczoru.
Oto sosny spłonęły, jakby w głębiach boru
Nagle coś szkarłatnego stało się na wieki!

Zwabiony owym znakiem, biegnę tam niezwłocznie,
Aby zawczasu jeszcze, nim wpłynę w noc ciemną,
Zastać na nikłem trwaniu i sprawdzić naocznie
To właśnie, co już drzewa widziały przede mną.

WIOSNA

Młode jeszcze gałęzie tężą się pokrótce
W zielonej, pniom dla znaku przydanej obwódce.
Kwiaty, kształt swój półsennie zgadując zawczasu,
Nikłym pąkiem wkraczają w nieznaną głąb lasu.
W dali — postrach na wróble przesadnie rękaty
Z zeszłorocznym rozpędem chyli się we światy,
Jakby chciał paść w ramiona pobliskiej cierpiałki,
Co naprzeciw cień w skrócie rzuca w piasek miałki.
W obłoku — obłok drugi napuszyście płonie.
Wróbel łeb zaprzepaszcza w swych skrzydeł osłonie.
Jakgdyby nasłuchiwał, co mu dzwoni w sercu?
Świat, zda się, dziś nam nastał, a na pola szczercu,
Gdzie zieleń swym wyrobem omgliła rozłogi,
Bocian, pod prostym kątem załamując nogi
I dziób dzierżąc wzdłuż piersi dogodnie, jak cybuch,
Kroczy donikąd, w słońca zapatrzony wybuch,
Co skrzy się, że go okiem zgarnąć niepodobna,
We wszystkich rosach naraz i w każdej zosobna.

PRZYŚPIEW

Wkosmacona w kwiat płytki,
Łeb ująwszy w dwie chwytki.
Pszczoła, nim ją porwie lot,
W słońcu myje się, jak kot, —
I do naga z odwianych skrzydeł się rozbiera.
Lada powiew — lada
Płoszy wróbli stada,
I psi rumian kreśli cień
Ten sam niemal, co dzień w dzień,
I żuk brzuchem w niebiosy złudnie zaumiera.

Staw obłokiem żegluje,
Młyn mu kołem ojcuje,
Z po za lasu szumi las,
Z po za czasu szemrze czas,
Droga roztopolona śni się nie do końca…
Utrudą żałobny
Koń, dozgonnie ksobny,
Zaniepatrzył się na wóz,
Przymknął oczy w cieniu brzóz
I krótkim kaszlem dudni, jak kobza, do słońca.

Niech się dłuży cień ławy,
Niech wypoczną w nim trawy!
Z łbem na łapie chudy pies
Śpi po łapy owej kres,
Jakby na niej się świata kończyło bezdroże.
Ziele w jarze, ziele!
Skąd twoje wesele?
Niech się wzmaga wiew i żar,
Niech się wzmaga bóg i jar,
I to wszystko, co jeszcze, prócz nich, stać się może!

FALA

Niepostrzeżenie w morza urasta głębinie
Fala, która w niebiosach szuka dla się tronu.
Niepochwytna dla oka w narodzin godzinie,
Olbrzymieje tem śpieszniej, im bliższa jest zgonu.

Cicha bywa, gdy wzbiera nad sióstr zmarłych tłumem,
Aż załamie się w miejscu, gdzie się skędzierzawi,
Wówczas, węsząc śmierć spodem, burzy się i wrzawi
I uderza o brzegi swym pośmiertnym szumem.

I z tym szumem, malejąc, pada na kolana
I na ląd swe pozgonne wysypuje śniegi.
Czy zaszumisz po śmierci, duszo przewezbrana?
Czy uderzysz raz jeszcze o znajome brzegi?

WIATRAK

Piętrząc się nad ugorów chętną mu równiną,
Wiatrak, na wszystkie wokół odsłonięty światy,
Poskrzypuje drewnianą w tańcu krynoliną,
A na trawę, jak djabeł, miota cień rogaty.

Wędrowcze, w jednem miejscu zatkwiony kosturem,
Co znaczą twoje wstrząsy i nagłe podrygi?
Komu kłaniasz się wokół dębowym kapturem?
Z kim tak trafnie rozmawiasz na migi i śmigi?

W co wierzysz? Kogo widzisz nad sobą w lazurze?
Gdybyś się uczłowieczył, — jakie miałbyś lica?
Co za stwór się zataił w twej sękatej skórze?
Czem jesteś, oglądany przez duchy z księżyca?



W ślad za górnym orszakiem obłoków przesuwnych,
Co kształty w miarę biegu odmieniają stale,
Światła chodzą po łące w odstępach nierównych,
Jakby wzajem o sobie nie wiedziały wcale.

Niewiadomo, co łąkę tak szerzy w bezmiary,
Czy ich zwiewność, czy cichość, czy ruch, czy jasnota?
Czy raczej nieustanna tych cieniów pierzchota,
Co się kryją — spłoszone — w parowy i jary?

Czekam, aż jedno z świateł, skupionych na jaskrze,
Dotrze do mnie wraz z przerwą obłoków na niebie
I w pierś moją uderzy — i cały się zaskrzę
I łące nagle drogę rozwidnię do siebie.



W głąb podwórza świt przenika sennie,
Słychać bicie dwóch sprzecznych zegarów.
Na śmietniku skrzy się drogocennie
Potłuczonych resztka okularów.

Kiedy z rynny jaskółka wylata,
Mur w ślad za nią zda się rość w obłoki!
Pod akacją już obce dla świata
Leżą szczura rozczochrane zwłoki.

Dłoń dziewczęca z przeciwka dla psoty
Szkłem na ścian mych kwiaciate obicie
Rzuca żywe, słoneczne pełgoty,
Którym lubię się przyglądać skrycie.



Zapłoniona czereśnia, przez wróble opita.
Skrzy bieliście ku słońcu odziobaną pestę.
Korę, sokiem nabrzmiałą, żuk drasnął i przez tę
Drobną skazę żywicy płowa kropla świta.

Jeszcze pod zlewą rosy obfitej niezwykle
Kwiat się wątły ugina i ziemi dosięga,
I młodych jeszcze mrówek cwałująca wstęga,
Zachowując kształt w biegu, różowieje nikle.

Jakaż radość bezbronna i z jakąż łez siłą
Wzbiera we mnie i serce obnaża na światy,
Gdy zaoczę tej nocy narodzone kwiaty
W miejscu, gdzie jeszcze wczoraj tych kwiatów nie było!

PIESZCZOTA

Ten pąk róży, co dobył zaledwo pół skroni,
W uścisk liści od spodu tak czujnie ujęty!
Ten uśmiech, co się uczy i barwy i woni, —
Ten czar, co tem czaruje, że nierozwinięty!

Na palcach doń się zbliżam, by kroków odgłosy
Nie spłoszyły tej ciszy, w której trwa i rośnie,
I, oczy przymykając, całuję zazdrośnie
Jedwab ciepły od słońca i mokry od rosy.

A po chwili, gdy, dłonią muskając twe sploty,
Opodal tego pąka w cieniu drzew cię pieszczę,
Ustom moim dorzucam ślad twojej pieszczoty
Do smugi pocałunku, niestartego jeszcze.



Żuraw skrzypi za furtą ogrodu,
Słońce skrzy się w zadrach płotu tak nieznośnie,
Z gęstwy płynie dech przyziemny chłodu,
Wilga gwiżdże i dwugłośnie i trójgłośnie.
Lubię dojrzeć ukradkiem
Kłos, co w kwiatach przypadkiem
Taki inny wzwyż rośnie.

Z odrobiną słońca w rdzawej blasze
Po pod klombem polewaczka leży pusta.
Zdaje mi się, że dmuchnięciem zgaszę
Złotą muchę, co uderza w moje usta.
Obłok, prósząc przez drzewa
Skry ogniste, powiewa,
Jak płonąca w dal chusta.

Ta murawa, wychmarzona z rosy,
Mym się oczom tak narzuca, jak dziwota,
Skoro jabłko, zjedzone przez osy,
Wskaże mi ją, dzwoniąc w ziemię, jak pięść złota.
Wzrok zdziwiony nią pieszczę,
Jakbym nie znał jej jeszcze
Za dni mego żywota.



O majowym poranku deszcz ciepły i przaśny
Trafia w liście naoślep — prawie bezhałaśny.
Krople, spadłe i kurzu pociągnięte błoną,
Podskakują na piachu i wzajem się chłoną
I, wspólnie olbrzymiejąc, trwają same przez się,
Aż je ziemia powoli uszczupli i wessie.
Co raz mniej ich przybywa na drogi i łany.
Już wygładza się strumień, deszczem pręgowany,
Już z za chmur, rozpostartych nakształt kruczych skrzydeł,
Słońce pęk wysztywnionych ku ziemi promideł
Rozwachlarza znienacka i, przez wyzior w chmurze
Prześwitując, rozwidnia strojne brzozą wzgórze
I klin pola przygodny i pogrąża w złocie
Sad wiśniowy aż do dna wraz z wróblem na płocie,
Co, światłem zaskoczony, ćwierka w niebogłosy
I łzy jeszcze niestałej i ruchliwej rosy
Skrzą się tłumnie, u liści zawieszone brzegu,
I wzdłuż łodyg cwałują resztą swego biegu.
Motyl, któremu skrzydła posklejał miód słodki,
Na bakier wpięty w kitę zachwianej tymotki,
Kołysze się w cudownem oczom bezukryciu,
Znacząc jakiś świat w świecie, jakieś życie w życiu,
I coś sobie wyznają dwa milczące znoje,
Dwa szczęścia niepojęte — i jego i moje.

POGODA

I chcę i nie chcę i muszę
Dziś jaśnieć razem z pogodą,
Co niepokoi mi duszę
Złotego szczęścia urodą.

A szczęście lśni odniechcenia,
A ja przezywam je: „Ono” —
I rozkosz porozumienia
Poufnie wzdyma mi łono!

A Ono w słońcu się szerzy,
Na rzęsach światłem osiada,
Ale do siebie należy,
I nikt go, nikt nie posiada!

A Ono teraz w obłoku,
A teraz — w środku trawnika,
Pociesznie przynaglam kroku,
Niech krok do szczęścia nawyka.

Brnę w słońcu po samo gardło,
Co snami łka niecierpliwie,
Twarz mam odwiecznie umarłą
A w nogach radość mi żywie…

I błogosławię swej twarzy,
I wdycham wiarę od słońca,
Że się napewno coś zdarzy,
Coś się poszczęści bez końca!

Że Ono drogą rozminną
Zbliża się wciąż bezhałaśnie,
I że tak stać się powinno,
I że tak stanie się właśnie!

I czynię kroki niezgrabne,
Ze szczęściem nieoswojone, —
I bezdomnieję i słabnę
I nie wiem, w którą biedz stronę?

Trzeba nic nie mieć prawdziwie,
Żyć tylko tem, że się żyje,
By dłoń wyciągać łapczywie
Po takie szczęście niczyje!



Upalny ranek. Gwary i turkoty
Kończą się nagle u sztachet ogrodu,
Gdzie ławek cienie, wdumane w piach złoty,
Dają tym piachom czar głębi od spodu.

Zapatrzonemu w dal przed się bez końca
Reszta dorożki z plecami woźnicy,
Znikając nagle na rogu ulicy,
Odsłania szybę, zbłyskaną od słońca.

Pies mój, w ślad za mną idący niemrawie,
Znienacka wstrząsa kudłami swej grzywy
I pysk zadziera i patrzy ciekawie
Na szyld, od wróbli szary i wrzaskliwy.

Jakaś warjatka męczeńsko uboga,
Słynna w zaułku na całe podwórze,
Wrzuca do skrzynki, strumniałej przy murze,
List, nieudolnie skreślony do Boga.

PRZEMIANY

Tej nocy mrok był duszny i od żądzy parny,
I chabry, rozwidnione suchą błyskawicą,
Przedostały się nagle do oczu tej sarny,
Co biegła w las, spłoszona obcą jej źrenicą, —
A one, łeb jej modrząc, mknęły po sarniemu,
I chciwie zaglądały w świat po chabrowemu.

Mak, sam siebie w śródpolnem wykrywszy bezbrzeżu,
Z wrzaskiem, który dla ucha nie był żadnem brzmieniem,
Przekrwawił się w koguta w purpurowem pierzu,
I aż do krwi potrząsał szkarłatnym grzebieniem,
I piał w mrok, rozdzierając dziób, trwogą zatruty,
Aż mu zinąd prawdziwe odpiały koguty.

A jęczmień, kłos pragnieniem zazłociwszy gęstem,
Nasrożył nagle złością zjątrzone ościory
I w złotego się jeża przemiażdżył ze chrzęstem
I biegł, kłując po drodze ziół nikłe zapory,
I skomlał i na kwiaty boczył się i jeżył,
I nikt nigdy nie zgadnie, co czuł i co przeżył?

A ja — w jakiej swą duszę sparzyłem pokrzywie,
Że pomykam ukradkiem i na przełaj miedzą?
I czemu kwiaty na mnie patrzą podejrzliwie?
Czy coś o mnie nocnego wbrew mej wiedzy — wiedzą?
Com czynił, że skroń dłońmi uciskam obiema?
Czem byłem owej nocy, której dziś już niema?

II

BALLADY

MIRIAMOWI

GAD

Szła z mlekiem w piersi w zielony sad,
Aż ją w olszynie zaskoczył gad.

Skrętami dławił, ująwszy w pół,
Od stóp do głowy pieścił i truł.

Uczył ją wspólnym namdlewać snem,
Pierś głaskać w dłonie porwanym łbem,

I od rozkoszy, trwalszej nad zgon,
Syczeć i wić się i drgać, jak on.

Już me zwyczaje miłosne znasz,
Zwól, że przybiorę królewską twarz.

Skarby dam tobie z podmorskich den,
Zacznie się jawa — skończy się sen!

Nie zrzucaj łuski, nie zmieniaj lic!
Nic mi nie trzeba i nie brak nic.

Lubię, gdy żądłem równasz mi brwi
I z wargi nadmiar wysysasz krwi,

I gdy się wijesz wzdłuż moich nóg,
Łbem uderzając o łoża próg.

Piersi ci chylę, jak z mlekiem dzban!
Nie żądam skarbów, nie pragnę zmian.

Słodka mi śliny wężowej treść, —
Bądź nadal gadem i truj i pieść!

RÓŻE

Ocknął się rycerz, snem zatrwożony,
Mówi po ciemku do swojej żony:
—„Sen miałem, jakom zwykł,
„Był tu, był tam — i znikł.

„Widziałem we śnie róże i róże,
„I twoją siostrę i noc w lazurze,
„Tuż obok w sennych mgłach
„Szedł ku niej nawprost gach.

„Spłyń-że mi cicho, jak krew po nożu,
„Do jej alkowy, by tuż przy łożu,
„Co dźwiga ciała znój,
„Sen sprawdzić mój — nie mój!”

Zwlekła się pani z leż na kolana,
Z kolan powstała wyprostowana,
I poszła przed się w mrok,
Za krokiem głusząc krok.

Gdy do siostrzynej wnikła alkowy,
Szukała głowy obok jej głowy,
Obok lic — innych lic,
Lecz nie znalazła nic.

Ujrzała tylko róże i róże,
Wszystkie szkarłatne i bardzo duże,
Bo śpiąca, trwając wzdłuż,
Sen pasła jawą róż.

Upadła pani w mrok na kolana.
— „Tak będę trudniej zowąd widziana!” —
Tamuje wonny dech,
Nocnych się bojąc ech.

Gdy północ wzmogła sny nieomylne.
Słyszy stąpanie bose i pilne, —
Ściągnęła czujne brwi:
Ktoś wręcz otworzył drzwi.

Na klęczkach pani wzroku natęża,
Na klęczkach widzi, że duch jej męża
Idzie, drzwi tłumiąc ruch, —
Śpi ciało — czuwa duch!

Idzie ku śpiącej w ogień i burzę,
Pomiędzy róże, pomiędzy róże!
    Od róż ją bierze w pół,
    W uścisku zwarł i skuł.

— „Śpijmy oboje — i duch i ciało,
„Niech żadne nie wie, co się z niem działo!”
    Przegina śpiącą w znak,
    By docałować tak!

Nad ranem pani powraca blada.
— „Czy śpisz, mój mężu?” — Nie odpowiada.
    —„Różami sen twój czuć!
    „O zbudź się, zbudź się, zbudź!”

Budzi się rycerz i w oczy pyta:
— „Cóżeś widziała, w mroku ukryta?
    „Czy mówić nie masz sił?
    „Był-że gach w łożu?” — „Był”. —

— „Czy szedł ku śpiącej w ogień i burzę,
„Pomiędzy róże, pomiędzy róże?
    „Czy przegiął białą w znak?” —
    —„Tak — szepcze pani — tak”. —

— „A czyli widział ciebie, jak w mroku
„Z dłonią na piersi, ze zgrozą w oku
    „Klęczałaś, zgięta w łuk?” —
    —„Widział i on i Bóg!” —

Porwał się rycerz ze swej łożnicy:
— „Uchyl, śnie złoty, złotej przyłbicy!
    „Jam jest! Poznajesz mnie?”
    —„Nie inny byłeś w śnie!” —

— „Spędzałem noce na sennej strawie,
„Odtąd chcę żywą pieścić na jawie!” —
    —„Już — szepcze pani — już
    „Skonała wpośród róż!

„We śnie zabiłam ciało bezszumne,
„Złożyć kazałam w podwójną trumnę;
    „Dwie trumny — trzeci grób, —
    „Trudny z nią będzie ślub!” —

A rycerz na to: „Zmarła zawcześnie!
„Znowu ją muszę nawiedzać we śnie,
    „Do trumien wkroczę dwóch
„Ja — pan, ja — sen, ja — duch!”

BALLADA DZIADOWSKA

Postukiwał dziadyga o ziem kulą drewnianą,
Miał ci nogę obciętą aż po samo kolano.

Szedł skądkolwiek gdziekolwiek — byle zażyć wywczasu,
Nad brzegami strumienia stanął tyłem do lasu.

Stał i patrzał tem białkiem, co w niem pełno czerwieni,
Oj da-dana, da-dana! — jak się strumień strumieni!

Wychynęła z głębiny rusałczana dziewczyca,
Obryzgała mu ślepie, aż przymarszczył pół lica.

Nie wiedziała, jak pieścić, — nie wiedziała, jak nęcić?
Jakim śmiechem pośmieszyć, jakim smutkiem posmęcić?

Wytrzeszczyła nań oczy — szmaragdowe płoszydła —
I objęła za nogi — pokuśnica obrzydła.

Całowała uczenie, i łechtliwie i czule
Oj da-dana, da-dana! — tę drewnianą, tę kulę!

Parskał śmiechem dziadyga w kark poklękłej ułudy,
Aż przysiadał na trawie, jakby tańczył przysiudy.

Aż mu trzęsła się broda i dwie wargi u gęby,
Aż się kulą obijał o perłowe jej zęby!

— „Czemuż jeno całujesz moją kłodę stroskaną?
Czemuż dziada pomijasz aż po samo kolano?

Za wysokie snadź progi dla czarciego nasienia,
Ty, wymoczku rusalny, — ty, chorobo strumienia!

Pieszczotami to drewno chcesz pokusić do grzechu?
Oj-da-dana, da-dana! — umrę chyba ze śmiechu!” —

Spowiła go ramieniem, okręciła, jak frygą!
— „Pójdż-że ze mną, dziadoku — dziaduleńku — dziadygo!

Będę ciebie niańczyła na zapiecku z korali,
Będę ciebie tuczyła kromką żwiru z pod fali.

Będziesz w moim pałacu miał wywczasy niedzielne,
Będziesz pijał z mej wargi pocałunki śmiertelne!”

Pociągnęła za brodę i za torbę żebraczą
Do tych nurtów pochłonnych, co się w słońcu inaczą.

Nim się zdążył obejrzeć, — już miał falę na grzbiecie, —
Nim się zdołał przeżegnać, — już nie było go w świecie!

Zakłębiły się nurty — wyrównała się woda,
Znikła torba dziadowska i łysina i broda!

Jeno kloc ten chodziwy — owa kula drewniana
Wypłynęła zwycięsko — oj da-dana, da-dana!

Wypłynęła — niczyja, nie należna nikomu,
Wyzwolona z kalectwa, wypłókana ze sromu!

Brnęła tędy — owędy szukająca swej drogi,
Niby szczątek okrętu, co się wyzbył załogi!

Grzała gnaty na słońcu ku swobodzie, ku życiu,
Zapląsała radośnie na swem własnem odbiciu!

I we żwawych poskokach podyrdała przez fale
Oj da-dana, da-dana! — w te zaświaty — oddale!

DUSIOŁEK

Szedł po świecie Bajdała,
Co go wiosna zagrzała, —
Oprócz siebie — wiódł szkapę, oprócz szkapy — wołu,
Tyteż tędy, co wszędy, szedł z nimi pospołu.

Zachciało się Bajdale
Przespać upał w upale,
Wypatrzył zezem ściółkę ze mchu po pod lasem,
Czy dogodna dla karku — spróbował obcasem.

Poległ cielska tobołem
Między szkapą a wołem,
Skrzywił gębę na bakier i jęzorem mlasnął
I ziewnął w niebogłosy i splunął i zasnął.

Niewiadomo dziś wcale,
Co się śniło Bajdale?
Lecz wiadomo, że, szpecąc przystojność przestworza,
Wylazł z rowu Dusiołek, jak półbabek z łoża.

Pysk miał z żabia ślimaczy, —
(Że też taki żyć raczy!) —
A zad tyli, co kwoka, kiedy znosi jajo.
Milcz, gębo nieposłuszna, bo dziewki wyłają!

Ogon miał ci z rzemyka,
Podogonie zaś z łyka.
Siadł Bajdale na piersi, jak ten kruk na snopie, —
Póty dusił i dusił, aż coś warkło w chłopie!

Warkło, trzasło, spotniało!
Coć się stało, Bajdało?
Dmucha w wąsy ze zgrozy, jękiem złemu przeczy, —
Słuchajta, wszystkie wierzby, jak chłop przez sen beczy!

Sterał we śnie Bajdała
Pół duszy i pół ciała,
Lecz po prawdzie nie długo ze zmorą marudził, —
Wyparskał ją nozdrzami, zmarszczył się i zbudził.

Rzekł Bajdała do szkapy:
Czemu zwieszasz swe chrapy?
Trzebać było kopytem Dusiołka przetrącić,
Zanim zdążył mój spokój w całem polu zmącić!

Rzekł Bajdała do wołu:
Czemuś skąpił mozołu?
Trzebać było rogami Dusiołka postronić,
Gdy chciał na mnie swej duszy paskudę wyłonić!

Rzekł Bajdała do Boga:
O, rety — olaboga!
Nie dość ci, żeś potworzył mnie, szkapę i wołka,
Jeszcześ musiał takiego zmajstrować Dusiołka?

ŚWIDRYGA I MIDRYGA

To nie konie tak cwałują i uszami strzygą,
Jeno tańczą dwaj opoje — Świdryga z Midrygą.

A nie stęka tak stodoła pod cepów bijakiem,
Jak ta łąka, żgana stopą srożej, niż kułakiem!

Zaskoczyła ich na słońcu Południca blada
I Świdrydze i Midrydze i tańcowi rada.

Zaglądała im do oczu chciwie, jak do żłobu.
— „Który w tańcu mię wyhula, bom jedna dla obu?" —

— „Moja będzie — rzekł Świdryga — ta pierś i ta szyja!" —
A Midryga pięścią przeczy: „Moja, lub niczyja!"

Ten ją porwał za dłoń jedną, a tamten za wtórą.
— „Musisz obu nam nastarczyć, skąpico-dziewczuro!"

A ona im prosto w usta dyszy bez oddechu,
A ona im prosto w oczy śmieje się bez śmiechu.

I rozdwaja się porównu, rozszczepia się żwawo
Na dwie dziewki, na siostrzane — na lewą i prawą.

— „Dosyć ciała dwoistego mamy tu na łące!
„Tańcz-że z nami południami, dopóki jarzące!

„Jedna dziewka rak ma czworo i cztery ma łydy!
Niech upoją nas do reszty twe słodkie bezwstydy!"

Nasrożyli się do tańca, jakgdyby do boju, —
Przysporzyli kwiatom zgiełku, łące — niepokoju

Więc Świdryga pląsał z prawą, więc Midryga — z lewą,
Ten obcasem kurz zamiatał, a tamten — cholewą.

Na odsiebkę, na odkrętkę i znów na odwrotkę, —
Podeptali macierzankę, błyszczkę i tymotkę!

Jeden wrzeszczał: „Konaj żywcem!" a drugi: „Wciornaści!"
Tańcowali aż do zdechu i aż do upaści!

Aż poczuli, że dziewczyna życie w tańcu traci,
I umarła jednocześnie we dwojej postaci.

„Pochowajmy owo ciało nie bardzo samotne.
„Bo podwójne w tańcowaniu, a w śmierci dwukrotne.

„Pochowajmy na cmentarzu, gdzie za drzewem — drzewo,
„Zmówmy pacież obopólny — za prawą i lewą."

W dwóch ją trumnach ułożyli, ale w jednym grobie, —
A już huczy echo ziemne — tańczą trumny obie!

Tańczą, ciałem nakarmione, syte i hulaszcze,
Ukazując co raz w tańcu niedomkniętą paszczę

Tańczą, skaczą i wirują, klepką dzwonią w klepkę,
Na odkrętkę, na odwrotkę i znów na odsiebkę!

Aż się kręci razem z niemi śmierć w skocznych lamentach,
Aż się wzdryga wnętrznościami przerażony cmentach!

Aż się w sobie zatraciło błędne tańca koło,
Aż się stało po pod ziemią huczno i wesoło!

Aż zmąciły się rozumy Świdrydze-Midrydze,
Jakby wicher je rozhulał na wiatraka śmidze!

I rozwiała się w ich głowach ta wiedza pomglona,
Gdzie jest prawa strona świata, a gdzie lewa strona?

W jakiej trumnie lewa dziewka, w jakiej prawa leży?
I która z nich i do kogo po śmierci należy?

Tak im w oczach opętanych świat się cały miga,
Że nie wiedzą, kto Świdryga, a kto z nich Midryga?

Jeno ujrzą otchłań śmierci czarną od ogromu:
— „A bądźcie tu, ludzie dobrzy, jak u siebie w domu!

Jedna trumna dla jednego, dla drugiego — druga,
W jednej wieczność prawem okiem, w drugiej lewem mruga.

Obłąkani nad przepaścią poklękali wzajem
I na klęczkach zatańczyli tuż, tuż nad jej skrajem.

Tańcowali na czworakach, tańcowali płazem,
Tak i nie tak — i na opak — razem i nie razem!

At wichrzeni w mrok dwóch trumien, jak dwa błędne wióry
Powpadali w otchłań śmierci nogami do góry!

MAK

Za chruścianym stanęła witakiem,
A boginiak już czyhał za krzakiem, —
Pogiął kibić, zagarnął twarz białą
I mięśniami pościskał jej ciało!
A ty śpiewaj, śpiewulo, —
A ty zgaduj, zgadulo!
I mięśniami pościskał jej ciało.

Tchem się swoim do tchu jej przedostał,
Dreszczem nagłym dreszczowi jej sprostał,
Sponiewierał wargami w ustroniu,
Obezdolił pieszczotą na błoniu!
A ty śpiewaj, śpiewulo, —
A ty zgaduj, zgadulo!
Obezdolił pieszczotą na błoniu.

I wykochał jej nogi i ręce,
I wykochał oddechy dziewczęce,
I z chichotem odrzucił na siano
Tę dziewczynę, przez niego ospaną!
A ty śpiewaj, śpiewulo, —
A ty zgaduj, zgadulo! —
Tę dziewczynę, przez niego ospaną.

— „Dokąd pójdę — na które cmentarze?
„Jak się Bogu na oczy pokażę?
„Ni mi klęknąć na grzeszne kolano,
„Ni przeżegnać się dłonią zbrukaną!
A ty śpiewaj, śpiewulo, —
A ty zgaduj, zgadulo!
„Ni przeżegnać się dłonią zbrukaną.”

Wspominając jego wargi ssące,
Mak czerwony zerwała na łące.
Pełna lęku i wstydu i zmazy
Przeżegnała się makiem trzy razy!
A ty śpiewaj, śpiewulo, —
A ty zgaduj, zgadulo!
Przeżegnała się makiem trzy razy.

Rozewrzyjcie na nieba rozstaju
Wszystkie wrota do mego wyraju,
Bo ja w niebie dziewczynę mieć muszę

Tę, co makiem przeżegnała duszę!
A ty śpiewaj, śpiewulo,
A ty zgaduj, zgadulo!
Tę, co makiem przeżegnała duszę.

WIŚNIA

Rosła wiśnia w królewskim ogrodzie,
Król ją ujrzał o słońca zachodzie.
Ujrzał tajnym zapłonioną żarem
I obłąkał swe zmysły jej czarem.

    Ach, nie po to się czerwienię,
    Żeby gasić twe pragnienie!

„Jedni wierzą w śpiewające ptaki,
Inni w gwiezdne na błękicie znaki,
A ja ciebie będę czcił w twej krasie,
Wiśnio, wiśnio! Już ku zmierzchom ma się!”

    Ach, nie po to się czerwienię,
    Żeby gasić twe pragnienie!

„Uśmierz obłęd, ty — zorzo zorzysta!
Przejrzyj duszę do dna, bo zbyt mglista…
W tym ogrodzie dwoje nas, jak dwoje”…
I wyciągnął ku niej usta swoje.

    Ach, nie po to się czerwienię,
    Żeby gasić twe pragnienie!

I wyciągnął usta w żal zaklęty
I skamieniał, szałem ogarnięty,
I nie wiedział, że nie dni samotne,
Jeno wieki mijają stokrotne.

    Ach, nie po to się czerwienię,
    Żeby gasić twe pragnienie!

Ona zdawna przez jego kochanie
Nieśmiertelne pozyskała trwanie
I, wtulona w nieuwiędłe liście,
Płomieniała odtąd wiekuiście.

    Ach, nie po to się czerwienię,
    Żeby gasić twe pragnienie!

A on w mgłę się rozcieńczył obladłą,
Ciało jego już w nic się rozpadło,
Jeno ustom, by mogły całować,
Wolno było w ogrodzie wiekować.

    Ach, nie po to się czerwienię,
    Żeby gasić twe pragnienie!

I śpiewały te usta do wiśni:
„Brak nam oczu. Cóż ślepcom się przyśni?
„Lecz, cokolwiek nam sądzono w niebie,
„Nie przestaniem należeć do ciebie!”

Ach, nie po to się czerwienię,
Żeby gasić twe pragnienie!

Tędy właśnie szły dziewczęta młode,
Podziwiały ust wiernych urodę:
„Usta, usta, rozwarte do picia,
„Jaki smutek stał się wam za życia?”

Ach, nie po to się czerwienię,
Żeby gasić twe pragnienie!

„Mogłybyście nie jednej dziewczynie,
„Dać to szczęście, bez którego ginie!
„Jakaż niemoc tak strasznie was więzi
„Do tej wiśni, co trwa na gałęzi?”

Ach, nie po to się czerwienię,
Żeby gasić twe pragnienie!

PIŁA

Idzie lasem owa zmora, co ma kibić piły,
A zębami chłopców nęci i zna czar mogiły.

Upatrzyła parobczaka na schyłku doliny:
— „Ciebie pragnę, śnie jedyny, — dyny moje, dyny!

„Pocałunki dla cię, chłopcze, w ostrą stal uzbroję,
„Błysk — niedobłysk na wybłysku — oto zęby moje!

„Oczaruj się tym widokiem, coś go nie widywał,
„Ośnij-że się tymi snami, coś ich nie wyśniwał!

„Połóż głowę na tym chabrze i połóż na maku,
„Pokochaj mnie w polnym znoju i w śródleśnym ćmaku!”

— „Będę ciebie kochał mocą, z którą się mocuję,
„Będę ciebie tak całował, jak nikt nie całuje!

„Będę gardził dziewczętami, com je miał w swej woli,
„Bo z nich każda od miłości łka, jak od niedoli.

„Chcę się ciałem przymiarkować do nowej pieszczoty,
„Chcę się wargą wypurpurzyć dla krwawej ochoty!

„Chcę dla twojej dla zabawy tak się przeinaczyć,
„Abym mógł się na twych zębach dreszczami poznaczyć!”

Zazgrzytała od rozkoszy, naostrzyła zęby:
— „Idę w miłość, jak chadzałam na leśne wyręby!”

Zaszumiała po nad nimi ta wierzba złotocha, —
Poznał chłopiec, czem w uścisku jest stal, gdy pokocha!

Całowała go zębami na dwoje, na troje:
— „Hej, nie jedną z ciebie duszę w zaświaty wyroję!”

Poszarpała go pieszczotą na nierówne części:
— „Niech wam, moje wy drobiażdżki, w śmierci się poszczęści!”

Rozrzuciła go podzielnie we sprzeczne krainy:
— „Niechaj Bóg was pouzbiera, ludzkie omieciny!”

Same chciały się uciułać w kształt wielce bywały,
Jeno znaleźć siebie w świecie wzajem nie umiały.

Zaczęło się od mrugania ległych w kurzu powiek, —
Niewiadomo, kto w nich mrugał, ale już nie człowiek!

Głowa, dudniąc, mknie po grobli, szukająca karku,
Jak ta dynia, gdy się dłoniom umknie na jarmarku.

Piersią, sobie przywłaszczoną, jar grabieżczo dyszy,
Uchem, wbiegłem na wierzchołek, wierzba coś tam słyszy!

Oczy, wzajem rozłączone, tleją bez połysku,
Jedno brzęczy w pajęczynie, drugie śpi w mrowisku.

Jedna noga po pod lasem uwija się w tańcu,
Druga włóczy się na klęczkach po zbożowym łańcu.

A ta ręka, co się wzniosła w próżnię po nad drogą,
Znakiem krzyża przeżegnała niewiadomo kogo!

KRÓLEWNA CZARNYCH WYSP

Królewna Czarnych Wysp, podwójną bielą rąk
Rozwidniająca zmierzch w miłosnych żądz pośpiechu,
Rozdawczyni snów i mąk,
Pełna zdrady, pełna grzechu,
Całująca własne dłonie,
Zanim czar utracą w zgonie,
Dziś o północy w ogrodzie,
W kwiatach, w rosach, w cieniu, w chłodzie
Umarła.

W przedzgonnej, nagłej męczarni
Wiła się po bujnej darni,
W snach się wiła wciąż a wciąż,
Szalejąc ku nocy jasnej,
Aż zwinęła się, jak wąż,
Dookoła śmierci własnej.
Dzwonią w kościele.

Zbiegli się kochankowie na gwar dzwonów złoty,
Złoty gwar wśród drzewnych cieni,
Wszyscy smutni i zdradzeni,
Zbłąkani wpośród tęsknoty.
—„Smutki nasze — srebrne taśmy
„Wokół bioder królewny!
„Pragnienie w śmierci ugaśmy,
„Poranek nasz — niepewny!”
Tak to marzeń obyczajem
Pozdrowiwszy się nawzajem,
Na ramiona krzepkie, dumne
Niewesołą wzięli trumnę
I ponieśli nawprost słońca
W pszczół wyroje, w żal bez końca,
W sen o Bogu i o Maju.
W nagłą pustkę na rozstaju,
W spodziewaną poprzód grozę,
W cień cmentarza, po pod brzozę,
A, niosąc, wciąż kołysali,
A, kołysząc, zamawiali,
Żeby miała śmierć słodką.

Kopiąc wspólnie dół wśród ostu
Najpierw w glinie, potem w głazie,

Wspominali raz po razie,
Że była topoli wzrostu.

—„Kopmy dół dla smutnej wieści,
„Aż się topola pomieści,
„I ułużmy do snu ciało
„Tak, jakby samochcąc spało.”

Ułożyli, poprawili
Raz i jeszcze, a po chwili
Przyglądali się z pobrzeży
Czy dość samochcący leży?
Naówczas gąsiory złote
Ujęli po przez tęsknotę
I wlewali miód do dołu
I kolejno i pospołu,
Wlewali go cienką strugą,
Ale suto, ale długo.
        Żeby miała śmierć słodką.

Potem, lutnie nastroiwszy
Do żalnego w śmierć okrzyku,
By okazać ból żarliwszy,
Stanęli w chóralnym szyku
Według głosów, według losów
Przeznaczonych od niebiosów,
I chóralnie zaśpiewali
Pieśni o wszelkiej oddali,
O kalinie, która latem
Zbłąkała się po za światem,
O pośmiertnym w różach znoju
I o wiecznym niepokoju,
I śpiewali pieśni smutne,
I miłosne i okrutne,
Księżycowe i słoneczne,
I wesołe i taneczne,
        Żeby miała śmierć słodką.

A gdy jej dusza, niby kropla z wiosła,
Strącona z ziemi — w ciemność się uniosła,
Aniołowie, w locie biegli,
Na spotkanie jej wybiegli,
Bardzo senni, bardzo biali,
Szalejąc w wieczności progach,
Zagrobnie ją całowali
I po rękach i po nogach,
        Żeby miała śmierć słodką.

Miałam ci ja śmierć słodką,
Śmierć w kwiatach oniemiałą,
Jakbym była lilją białą,
    Albo stokrotką.
Złożyli mię kochankowie
W grobie na wznak, jak w alkowie,
Nie szczędzili mi w mych mękach
Ni ostatniej na sen rady,
Ni pieśni, ni miodnych trunków,
A na nogach i na rękach
Dotąd jeszcze czuję ślady
Anielskich pocałunków!
    Pokój mym cieniom.

ZIELONY DZBAN

To nie stu rycerzy, lecz sto trupów leży!
Nie sto trupów leży, jeno stu rycerzy!
A nie dla nich ruczaj dzwoni,
A bór szumny od nich stroni,
Jeno wicher we sto koni
Znikąd ku nim bieży.

Wybiła godzina — wiosna się zaczyna,
Z chaty poprzez kwiaty wybiega dziewczyna,
Dzban zielony, pełen wody,
Niesie zmarłym dla ochłody
W skwar śmiertelnej niepogody,
Co w proch wargi ścina.

Stopy moje — bose, skronie — złotowłose,
Kochałam, płakałam, zmarłym wodę niosę,
Oczerstwijcie ból wasz słony,
Smakiem śmierci podrażniony,
Cały ranek w dzban zielony
Ciułałam tę rosę.

Wypić — wypijemy, lecz nie ożyjemy,
Na polu w kąkolu żal się chwieje niemy,
A my leżym z ziemią w zmowie
W tym tu rowie i parowie,
Lecz nikt tego nie wypowie,
Gdzie my teraz, gdzie my?

Jedyny dobytek — ciszy w sobie zbytek
I snu podziemnego żmudny bezpożytek.
Nim sporządzisz dla nas sanie
Na wieczyste zimowanie,
Połóż wieniec na kurhanie
Z kalinowych witek.

W waszem zgromadzeniu, w natłoczonym cieniu
Jest taki, co maki kładł mi na ramieniu,
Niech ze dzbana pije wodę,
Niech przypomni lata młode,
Gdy raz spojrzał w mą urodę
W nagłem zachwyceniu!

Płyną dni niezłomne, czasy nieprzytomne,
Nie wierzę, że leżę trzy lata ogromne!

Mak pamiętam purpurowy,
Ale twojej, dziewczę, mowy
I tej złotej w słońcu głowy
Już dziś nie przypomnę!

Chmurzą się błękity, płacze deszcz obfity,
Na trawie w murawie leży dzban rozbity,
Dzban rozbity leży, leży,
A śpi pod nim stu rycerzy,
A wiatr znikąd ku nim bieży,
Kurzawą okryty!

ŚMIERCIE

Chodzą Śmiercie po słonecznej stronie,
Trzymający się wzajem za dłonie.

Którą z naszej wybierzesz gromady,
By w cmentarne uprowadzić sady?

Nie chciał pierwszej, że nazbyt miniasta,
Grób, gdy hardy, pokrzywą porasta.

Nie chciał drugiej, że nadmiernie złota,
Nie zna ciszy, kto się tak migota.

Wybrał trzecią, co, choć bogulicha,
Lecz tak cicha, że wszystko nacicha.

Coś za jedna, że podobasz mi się
W swym bożystym na ziemi zarysie?

Zal mi przeżal ptaka, co odlata,
Dla cię umrę z nieżalu do świata.

Blada jesteś, jak to słońce w zimie, —
Kędy dom twój i jak ci na imię?

Dom mój stoi na ziemi uboczu,
A na imię nic nie mam, prócz oczu.

Nic w tych oczach nie mam, prócz wieczoru,
Pewna byłam twojego wyboru.

Jeden zowąd śmierć sobie wybiera,
Ale drugi tą śmiercią umiera.

Choć wybrałeś, nie wiedząc dla kogo,
Zawszeć będę pamiętną i drogą.

Jestem śmiercią twej matki, co w chacie
Uśmiechnięta czeka teraz na cię.

STRÓJ

Miała w sadzie strój bogaty,
Malowany w różne światy,
Że, gdy w nim się zapodziała,
Nie wędrując — wędrowała.
Strój koloru murawego,
A odcienia złocistego, —
Murawego — dla murawy,
Złocistego — dla zabawy.

Zbiegło się na te dziwy aż stu płanetników,
Otoczyli ją kołem, nie szczędząc okrzyków.

Podawali ją sobie z rąk do rąk, jak czarę:
— „Pójmy duszę tym miodem, co ma oczy kare!”

Podawali ją sobie z ust do ust na zmiany:
— „Słodko wargą potłoczyć taki krzew różany!”

Porywali ją naraz w stu pieszczot zawieję:
— „Dziej się w tobie to samo, co i w nas się dzieje.”

Dwojgiem piersi ust głodnych karmiła secinę:
— „Nikt tak słodko nie ginął, jak ja teraz ginę!”

Szła pieszczota koleją, dreszcz z dreszczem się mijał,
Nim jeden wypił do dna, — już drugi nadpijał.

Kto oddawał — dech chwytał, a kto brał — dech tracił,
A kto czekał za długo — rozumem przypłacił!

Sad oszalał i stał się nieznany nikomu,
Gdy ona, jeszcze mdlejąc, wróciła do domu.

Miała w oczach ich zamęt, w piersi — ich oddechy,
I płonęła na twarzy od cudzej uciechy!

— „Jakiż wicher warkocze w świat ci rozwieruszył?”
— „Ach, to strzelec — postrzelec w polu mnie ogłuszył!”

— „Co za dreszcz twojem ciałem tak żarliwie miota?”
— „Śniła mi się w śródlesiu burza i pieszczota!”

Mać ją, płacząc, wyklęła, — ojciec precz wyrzucił,
Siostra łokciem skarciła, a brat się odwrócił.

A kochanek za progiem z pierścieni ograbił,
I nie było nikogo, ktoby jej nie zabił.

I nie było nikogo, ktoby nie był dumny,
Że ją przeżył, gdy poszła wraz z hańbą do trumny.

Tylko Bóg jej nie zdradził i ślepo w nią wierzył
I przez łzy się uśmiechał, że ją w niebie przeżył.

— „Ty musisz dla mnie poledz na śmierci wezgłowiu,
„A ja muszę dla ciebie trwać na pogotowiu!

„Ty pójdziesz tą doliną, gdzie ustaje łkanie,
„A ja pójdę tą górą na twoje spotkanie.

„Ty opatrzysz me rany, ja twych pieszczot ciernie,
„I będziem odtąd w siebie wierzyli bezmiernie!”

Miała w trumnie strój bogaty,
Malowany w różne światy,
Że, gdy w nim się zapodziała,
Nie wędrując — wędrowała.
Strój koloru murawego,
A odcienia złocistego,
Murawego — dla murawy,
Złocistego — dla zabawy.

DĄB

Zaszumiało, zawrzało, a to właśnie z dąbrowy
Wbiegł na chóry kościelne krzepki upiór dębowy
I poburzył organy rąk swych zmorą nie zmorą,
Jakby naraz go było wespół z gędźbą kilkoro.
Rozwiewała się, trzeszcząc, gałęzista czupryna,
I szerzyła się w oczach niewiadoma kraina.
A on piersi wszem dudom nastawił po rycersku,
A w organy od ściany uderzał po siekiersku!

Graj-że, graju, graj,
Dopomóż ci Maj,
Dopomóż ci miech, duda
I wszelaka ułuda!

Bił prawicą na lewo, a lewicą na prawo,
Pokrzyżował ryk z jękiem, a lamenty ze wrzawą,
Aż z tej dudy — marudy dobył dłonią sękatą
Pieśń od wnętrza zieloną, a po brzegach kwiaciatą.
Wyszli święci z obrazów, bo już mają we zwyku,
Że się garną śmierciami do śpiewnego okrzyku.
I Bóg przybył skądinąd, niebywały w tej porze,
Niebywały, lecz cały zasłuchany! O, Boże!

Graj-że, graju, graj,
Dopomóż ci Maj,
Dopomóż ci miech, duda
I wszelaka ułuda!

Grał ci drzewne obłędy, sen umarłej zieleni,
Rozpacz liści, porwanych wirem zimnych strumieni,
I grał marsze żałobne muchomorów, co kroczą
Jedną nogą donikąd, kiedy zgon swój zaoczą.
I grał o tem, jak mszary jeno milczą a milczą,
Jak śmierć leśna śpi nawznak pod jagodą pod wilczą,
I jak rosa bez oczu swemi łzami się nęka,
I jak drzewo pod ziemią w nagły żal się rozklęka!

Graj-że, graju, graj,
Dopomóż ci Maj,
Dopomóż miech, duda
I wszelaka ułuda!

A gdy śpiew mu uderzył durem leśnym do głowy.
Grał wszystkiemi jarami wszystkie naraz parowy!

Aż ten ołtarz zlękniony, gdzie wyzłota się święci,
Chciał już runąć na ziemię, lecz potłumił swe chęci.
A on wpodłuż organów, stare miażdżąc im koście,
Porozpędzał swe dłonie, jak te nogi po moście,
I, rozwiawszy tłum dźwięków po pieśniowym rozłogu,
Wygrzmiał z miechów to wszystko, co las myśli o Bogu!

Graj-że, graju, graj,
Dopomóż ci Maj,
Dopomóż ci miech, duda
I wszelaka ułuda!

Między Bogiem a grajem znikła inszość i przedział,
Skoro Bóg się o sobie snów dębowych dowiedział.
— „Odkąd żyję na świecie, a wszak jestem wieczysty,
„Nigdym dotąd nie słyszał takiego organisty!”
Grajek znawstwu bożemu na pamiątkę i chwałę
Porozbujał pieśń górą w dwa ruczaje niestałe,
Rozmurawił ją dołem, aż się kościół zielenił,
A cienistym przyśpiewem twarz słuchacza ocienił!

Graj-że, graju, graj,
Dopomóż ci Maj,
Dopomóż ci miech, duda
I wszelaka ułuda!

I Bóg słuchał wzruszony, słuchał duszą bezkreśną,
A w tej duszy mu było i ruczajno i leśno,
I coś jeszcze miarkował i coś dumał na stronie
I biegł żywcem do grajka i wyciągał swe dłonie!
Święci, wiedząc, co czynią, w nagłej cudom podzięce
Poklękali radośnie, wziąwszy siebie za ręce,
Bo, odkiedy świat światem, a śmierć jego obrębem,
Po raz pierwszy Bóg, płacząc, obejmował się z dębem!

Graj-że, graju, graj,
Dopomóż ci Maj,
Dopomóż ci miech, duda
I wszelaka ułuda!

BALLADA BEZLUDNA

Niedostępna ludzkim oczom, że nikt po niej się nie błąka,
W swem bezpieczu szmaragdowem rozkwitała w bezmiar łąka,
Strumień skrzył się na zieleni nieustannie zmienną łatą,
A gwoździki z poza trawy wykrapiały się wiśniato.
Świerszcz, od rosy napęczniały, ciemnił pysk nadmiarem śliny,
I dmuchawiec kroplą mlecza błyskał w zadrach swej łęciny,
A dech łąki wrzał od wrzawy, wrzał i żywcem w słońce dyszał.
I nie było tu nikogo, ktoby widział, ktoby słyszał.

Gdzież me piersi, Czerwcami gorące?
Czemuż niema ust moich na łące?
Rwać mi kwiaty rękami obiema!
Czemuż rąk mych tam na kwiatach niema?

Zabóstwiło się cudacznie pod blekotem na uboczu,
A to jakaś mgła dziewczęca chciała dostać warg i oczu,
I czuć było, jak boleśnie chce się stworzyć, chce się wcielić,
Raz warkoczem się zazłocić, raz piersiami się zabielić, —
I czuć było, jak się zmaga zdyszanego męką łona,
Aż na wieki sił jej zbrakło — i spoczęła niezjawiona!
Jeno miejsce, gdzie być mogła, jeszcze trwało i szumiało,
Próżne miejsce na tę duszę, wonne miejsce na to ciało.

Gdzież me piersi, Czerwcami gorące?
Czemuż niema ust moich na łące?
Rwać mi kwiaty rękami obiema!
Czemuż rąk mych tam na kwiatach niema?

Przywabione obcym szmerem, wszystkie zioła i owady
Wrzawnie zbiegły się w to miejsce, niebywałe węsząc ślady,
Pająk w nicość sieć nastawił, by pochwycić cień jej cienia,
Bąk otrąbił uroczystość spełnionego nieistnienia.
Żuki grały jej potrupne, świerszcze — pieśni powitalne,
Kwiaty wiły się we wieńce, ach, we wieńce pożegnalne!
Wszyscy byli w owem miejscu na słonecznym, na obrzędzie,
Prócz tej jednej, co być mogła, a nie była i nie będzie!

Gdzież me piersi, Czerwcami gorące?
Czemuż niema ust moich na łące?
Rwać mi kwiaty rękami obiema!
Czemuż rąk mych tam na kwiatach niema!

III

W MALINOWYM CHRÓŚNIAKU

✻ ✻ ✻

W malinowym chróśniaku, przed ciekawych wzrokiem
Zapodziani po głowy, przez długie godziny
Zrywaliśmy przybyłe tej nocy maliny.
Palce miałaś naoślep skrwawione ich sokiem.

Bąk złośnik huczał basem, jakby straszył kwiaty,
Rdzawe guzy na słońcu wygrzewał liść chory,
Złachmaniałych pajęczyn skrzyły się wisiory,
I szedł tyłem na grzbiecie jakiś żuk kosmaty.

Duszno było od malin, któreś, szepcząc, rwała,
A szept nasz tylko wówczas nacichał w ich woni,
Gdym wargami wygarniał z podanej mi dłoni
Owoce, przepojone wonią twego ciała.

I stały się maliny narzędziem pieszczoty
Tej pierwszej, tej zdziwionej, która w całem niebie
Nie zna innych upojeń, oprócz samej siebie,
I chce się wciąż powtarzać dla własnej dziwoty.

I nie wiem, jak się stało, w którem okamgnieniu,
Żeś dotknęła mi wargą spoconego czoła,
Porwałem twoje dłonie — oddałaś w skupieniu,
A chróśniak malinowy trwał wciąż dookoła.



Śledzą nas… Okradają z ścieżek i ustroni,
Z trudem przez nas wykrytych. Gniew nas w słońcu pała!
Śpieszno nam do łez szczęścia, do tchów naszych woni,
Chcemy pieszczot próbować, poznawać swe ciała.

Więc naprzekór przeszkodom źrenicą bezradną
Chłoniemy się nawzajem, niby dwa bezdroża,
A, gdy powiek znużonych kotary opadną,
Czujemy, żeśmy wyszli z uścisków i z łoża.

Nikt tak nigdy nie patrzał, nie bywał tak blady,
I nikt do dna rozkoszy ciałem tak nie dotarł,
I nie nurzał swych pieszczot bezdomnej gromady
W takiem łożu, pod strażą takich czujnych kotar!



Taka cisza w ogrodzie, że się jej nie oprze
Żaden szelest, co chętnie taje w niej i ginie.
Czerwieniata wiewiórka skacze po sośninie,
Żółty motyl się chwieje na złotawym koprze.

Z własnej woli, ze śpiewnym u celu łoskotem
Z jabłoni na murawę spada jabłko białe,
Łamiąc w drodze kolejno gałęzie spróchniałe,
Co w ślad za niem — spóźnione — opadają potem.

Chwytasz owoc, zanurzasz w nim zęby na zwiady
I podajesz mym ustom z miłosnym pośpiechem,
A ja gryzę i chłonę twoich zębów ślady,
Zębów, które niezwłocznie odsłaniasz ze śmiechem.



Hasło nasze ma dla nas swe dzieje tajemne:
Lampa, gdy noc już zdąży świat mrokiem owionąć,
Winna zgasnąć w tej szybie, a w tamtej zapłonąć.
Na znak ten oddech tracę. Już schody są ciemne.

Czekasz z dłonią na klamce i, gdy drzwi otwiera,
Tulę tę dłoń, co jeszcze ma chłód klamki w sobie,
A ty wzamian przyciskasz moje ręce obie
Do serca, które zawsze u drzwi obumiera.

Wchodzę ciszkiem, jakgdyby krok każdy knuł zbrodnię,
Między sprzęty, co dla mnie są sprzętami czarów.
Sama ścielesz swe łóżko według swych zamiarów,
By szczęściu i pieszczotom było w niem wygodnie.

I zazwyczaj dopóty milczymy oboje,
Dopóki nie dopełnisz podjętego trudu.
Ileż w dłoniach twych pieczy, miłości i cudu!
Kocham je, kocham za to, że piękne, że twoje.



Zazdrość moja bezsilnie po łożu się miota:
Kto całował twe piersi, jak ja, pokryjomu?
Czy jest wśród twoich pieszczot choć jedna pieszczota,
Której, prócz mnie, nie dałaś nigdy i nikomu?

Gniewu mego łza twoja wówczas nie ostudzi!
Poniżam dumę ciała i uczuć przepychy,
A ty mi odpowiadasz, żem marny i lichy,
Podobny do tysiąca obrzydłych ci ludzi.

I wymykasz się naga. W przyległym pokoju
We własnem się po chwili zaprzepaszczasz łkaniu,
I wiem, że na skleconem bezładnie posłaniu
Leżysz, jak topielica na twardem dnie zdroju.

Biegnę tam. Łkania milkną. Cisza, niby w grobie.
Zwinięta, nakształt węża, z bólu i rozpaczy
Nie dajesz znaku życia — jeno konasz raczej,
Aż znienacka za dłoń mię pociągasz ku sobie.

Jakże łzami przemokłą, znużoną po walce
Dźwigam z nurtów pościeli w ramiona obłędne!
A nóg twych rozemknione pieszczotami palce
Jakże drogie mym ustom i jakże niezbędne!



Z dłońmi tak splecionemi, jakbyś, klęcząc, spała,
W niedostępne mym oczom wpatrzona widzenie,
Płaczesz przez sen i wstrząsem wylękłego ciała
Błagasz o nagłą pomoc, o rychłe zbawienie.

Jeszcze płaczu niesytą do piersi cię tulę
A ty goisz się we mnie, niby lgnąca rana,
A ja płacz twój całuję, biodra i kolana
I ramię i zsuniętą z ramienia koszulę.

Lecz, karmiony ust twoich spłakanym oddechem,
Nie pytam o treść widzeń. Dopiero z porania
Zadaję ciemna nocą tłumione pytania.
Odpowiadasz bezładnie — ja słucham z uśmiechem.



Wyszło z boru ślepawe, zjesieniałe zmrocze,
Spłodzone samo przez się w sennej bezzadumie.
Nieoswojone z niebem patrzy w podobłocze
I węszy świat, którego nie zna, nie rozumie.

Swem cielskiem kostropatem kąpie się w kałuży,
Co nęci, jak ożywczych jadów pełna misa,
Czołgliwemi mackami krew z kwiatów wysysa
I ciekliną swych mętów po ziemi się smuży.

Zwierzę, co trwać nie zdoła zbyt długo na świecie,
Bo wszystko wokół tchnieniem zatruwa i gasi,
Lecz, gdy ty białą dłonią głaszczesz je po grzbiecie,
Ono, mrucząc, do stóp twych korzy się i łasi.



Czasami mojej ślepej posłuszny ochocie
Pragnę w tobie mieć czujną na byle skinienie
Sługę, co pieszczotami gasi me pragnienie,
A ty jesteś tak zmyślna i zwinna w pieszczocie!

Gdy twój warkocz, jak w słońcu wybujałe ziele,
Tchem rozwartych ogrodów mą duszę owionie,
Głowę twą, niby puhar, ujmuję w swe dłonie
I wargami w ślad dreszczu prowadzę po ciele.

I raduję się, śledząc tę wargę, jak zmierza
Do mej piersi kosmatej, widnej w niedomroczu,
W której marzę pierś w lesie ryczącego zwierza
I staram się, gdy pieścisz, nie tracić go z oczu.



Ty pierwej mgły dosięgasz, ja za tobą w ślady
Zdążam, by się w tym samym zaprzepaścić lesie,
I, tropiąc twoją bladość, sam się staję blady,
I, zdybawszy twój bezkres, sam ginę w bezkresie.

A potem wzieram w oczy, by zgadnąć, czy dość ci
Omdlenia, co się nogom udziela, jak szczęście,
I twe dłonie, jak w pąki, mnę w zdrobniałe pięście,
By się w nich docałować twych chrząstek i kości.

A one wypukleją na dłoni przegibie,
Niby pestki owoców, zróżowionych znojem,
I nieśmiałym do ust mych garną się wyrojem,
Zatajone w swej ciepłej od pieszczot siedzibie.

Ich dotyk budzi wzruszeń zaniedbanych krocie,
A ty, tuląc je w warg mych rozrzewnioną ciszę,
Dziecinniejesz w uścisku, malejesz w pieszczocie,
Chwila — a już cię do snu z lat dawnych kołyszę.



Zazdrośnicy daremnie chcą pochlebić pierwsi
Czarom, skrytym w twem ciele z moją o nich wiedzą!
Oczy, co się rzęsami nie tknęły twych piersi,
Czyliż pustym domysłem te czary wyśledzą?

Kto w chwili pocałunków nie zagrzał swej dłoni
Na twych bioder nawrzałej żądzą przegięcinie,
Nie potrafi określić upojeń tej woni,
Co z ciebie, jako z róży, snem potartej, płynie.

Kto ustami w nóg twoich nie wdumał się dreszcze,
Nigdy dość nie wysłowi twych oczu omdlenia,
A choćby je dzień cały badał bez wytchnienia,
Nie wypatrzy z nich tego, co ja z nich wypieszczę!



Zmienionaż po rozłące? O, nie, niezmieniona!
Lecz jakiś kwiat z twych włosów zbiegł do stóp ołtarzy,
A, choć brak tego zbiega nie skalał twej twarzy,
Serce me w tajemnicy przed twem sercem kona…

Dusza twoja śmie marzyć, że, w gwiezdne zamiecie
Wdumana, będzie trwała raz jeszcze i jeszcze, —
Lecz ciało? Któż pomyśli o niem we wszechświecie,
Prócz mnie, co tak w nie wierzę i kocham i pieszczę?

I gdy ty, szepcząc słowa, w ust zrodzone znoju,
Dajesz pieszczotom ujście w tym szepcie, co pała,
Ja, zamilkły wargami u piersi twych zdroju,
Modlę się o twojego nieśmiertelność ciała.

IV

WSPOMNIENIE

WSPOMNIENIE

Lubię wspominać te dziecięce lata,
Gdym, zaniedbując całą resztę świata,
W znajome pole szedł razem z pastuchem
Krów, co bezładnym swych rapci rozruchem
Niską przed nami niecիły kurzawę,
Ściągając na się wybiegły nad trawę
Deszcz much zielonych i złotych i owych
Samotnie skrzących, ciemno-purpurowych,
Co, dogadzając przemyślnemu skrzydłu,
Wpadają nagle w samo ślepie bydłu,
Zapatrzonemu w dal, jak w swą oborę.

Zawszem widywał po drodze brzóz korę
W brunatne pręgi i te same cienie
Lip na murawie i żółtych motyli
Nagłe w powietrzu skrzydeł rozdwojenie
I nagły w trawę zlot, gdy do badyli
Nóg się czepliwych przytwierdzają schwytem, —
I przykucnięte nad stawu błękitem
Kaczki, co, naszą zaoczywszy trzodę,
Niezgrabnie, piersią zsuwały się w wodę, —
I tłumy wróbli, co z głuchym łoskotem
Sfruwały z płotu, aby tuż pod płotem
W długi się szereg rozsypać na trawie.
I widywałem wszystko i nic prawie,
Na niewidziane znając drogę całą,
Bo odbywałem ją zarówno w sobie,
Jak po za sobą. Dziś wierzę, iż w grobie,
Gdy z mymi snami sam na sam zostanę,
Znów ją odbędę, znów na niewidziane,
W tem samem słońcu, jak we śnie przystało.

Szliśmy więc dalej, brnąc w słonecznem złocie
I ocierając zerwanym w przelocie
Łopuchem mokre, przepocone czoło.
A gdyśmy wreszcie tłumnie i wesoło,

Olśnieni ciszą i połyskiem trawy,
Na otworzyste wkroczyli pastwisko,
Wnet, rozniecone dla własnej zabawy,
Bezpożyteczne napozór ognisko,
Co niewidzialnym pod słońce płomieniem
Drgało, za każdem widoczniejąc drgnieniem,
Kładłem żołędzie i wiśniowe liście,
Ażeby, skwiercząc, dymiło się wonniej.

O, jakże kwiatom bywało przejrzyście
W mych oczach, gdzie się odbiły przestronniej,
Niźli w tej wodzie, co ciekła strumykiem
Przez nasze palce, gdyśmy w niej maczali
Chleb, w kostki tępym krajany kozikiem!
Tak spożywałem go: ze wzrokiem w dali,
Jakby na zawsze, utkwionym, — odruchem
Warg swych zajęty, wsłuchany półuchem
W chrapliwe, senne i parne oddechy
Krów, co mozolnie przeżuwały zioła,
Tej ociężałej doznając uciechy,
Która im każe nie patrzeć dokoła
W nic, jeno przed się znieruchomić pyski,
Ociekłe śliną i pachnące mlekiem.

A taka cisza na ten czar pobliski
Szła zdala, jakby wiek mijał za wiekiem,
Nie czyniąc zmiany, nie tykając wcale
Pilnie ku słońcu roziskrzonych kwiatów,
Ani świegotu skowronka w upale
Południejących nieustannie światów,
Na których błękit wsparł się mimochodem.
Naówczas wpodłuż kładłem się na trawie,
Ażeby badać skrycie i ciekawie
Znajomą łąkę, oglądaną spodem,
Co, rozumiejąc, czem jest taka chwila,
Sama przede mną swą gęstwę rozluźnia,
By mi ukazać, jak się cień motyla
Tuż za skrzydłami po kwiatach opóźnia,
I jak bąk w futro odziany tygrysie
Na złotym jaskrze, olbrzymiejąc, skrzy się,
Coraz to z innej zachodząc go strony, —
I jak przez maku czerniawą purpurę
Żuk, w wonnem wnętrzu chytrze zatajony,
Prześwieca plamą ruchliwą i ciemną, —
Jak chwiejna żaba, wznosząc ślepie bure

W żółtej obwódce ku niebu, woń ziemną
Pochłania krótkim a szybkim oddechem,
Co jej podgardle w miech wzdyma białawy,
A pysk pozornym koślawi uśmiechem,
Jak boża krówka na kończynie trawy
Z trudem swe skrzydła ku słońcu wyzwala,
Rozpoławiając sztywnego korala
Pancerz, zbyt mocno na karku zemknięty, —
Jak na włochatym, szorstkim liściu mięty,
Wzdłuż rubinami wysadzana szczelnie,
Lśni gąsienica, wspinając się dzielnie
Na tylnych łapkach, i dalszy kierunek
Węszy swym pyskiem, z którego wycieka
Płyn bursztynowy, jarząc się zdaleka, —
I jak wypełzły skądciś na rabunek,
Pod kaszką, niby pod strzechą ze srebra,
Wisi w powietrzu, chwiejąc się na strony,
Pająk brzuchaty, nawskroś prześwietlony,
Żem widział zlekka zaznaczone żebra,
Niby misternie przeplatane cienie.
A pod tych istnień zgiełkiem i natłokiem
Czułem pierś ziemi i jej roztętnienie
Pod moją piersią, zdławioną urokiem.

I zdało mi się, że na sny radosne
Lęgnę się w słońcu wraz z tłumem owadów,
Dziw pierworodny, co z podziemnych sadów
Wypełznął, węsząc żer oczom na wiosnę!
I zdało mi się, że wokół i wszędzie
Z głową tak samo, jak moja, upalną,
Leżą w tym samym co i ja, obłędzie,
Czynne w milczeniu tęsknotą chóralną,
Snem jednoczesnym objęte istoty,
Ukryte w trawie aż po czub swój złoty,
Olbrzymie, cudne, miłosne, złowieszcze,
Co, zgodnie dysząc, w łąkę patrzą chórem
I widzą twarz mą niewiadomo w którem
Królestwie istnień, nieznaną im jeszcze,
Lecz do ich twarzy podobną z brzemienia
Słońca na oczach, pełnych zapatrzenia.
I po przez kwiaty rozmyślałem w trawie,
Czyli je spotkam tam — w świecie na jawie,
Kiedy przybiorą kształt ludzki i lice,
Aby zachować naszą tajemnicę…
I czy tych braci, co dzisiaj pokotem

Mój sen zalegli, jako płaz przy płazie,
Gdzieś poza łąką spotkanych przelotem
Poznam po oczu odmiennym wyrazie?

V

PIEŚNI KALEKUJĄCE

ZALOTY

Nędzarz bez nóg, do wózka na żmudne rozpędy
Przytwierdzony, jak zielsko do ruchomej grzędy,
Zgroza bladych przechodniów i ulic zakała,
Obsługując starannie brzemię swego ciała,
Kręci korbę, jakgdyby na lirze w czas słoty
Wygrywał swoje skoczne ku niebu turkoty, —
I nad brzegiem urwistym tęczowych rynsztoków
Toczy się wraz z odbiciem zmydlonych obłoków,
Toczy się bałamutnie do dziewki z podwórza,
Do przystani stóp bosych — i ducha wynurza
Z łachmanów i wyciąga paździory swych dłoni
Ku jej zębom śnieżystym i tak mówi do niej:
— „Kocham strzęp twojej błotem zbryzganej spódnicy
Kocham głośny twój oddech! Na całej ulicy
Ty jedynie mym ustom bywasz tak potrzebna!
Wiem, że moja tęsknota, niby szkapa źrebna,
Wlekąc mię, wyda na świat płód nowych udręczeń.
W tem mój tryumf, że jestem niestrudzony klęczeń
Twej krasy! Kochaj-że mnie! Nuże do pieszczoty!
Potwór błaga cię o nią! Przyjm moje zaloty!
Wnijdź naga i bezwstydna w mej nędzy bezdomność
I tak pieść, by wargami pożreć mą ułomność!”

Ona mu się broni,
A on mówi do niej:
— „Wszak musi ktoś pokochać to, co już się stało, —
I ten wózek męczeński i korbę zbolałą,
I żądzę w resztkach cielska, jak w zgliszczach, poczętą,
I ten ochłap człowieka, co chce być przynętą!
Odsłoń czar w mej brzydocie! Znijdź z wyżyn do karła!
Bądź posłuszna mym dłoniom, jak ślepa lub zmarła!
Zdołam być nieodparty, jako grzech i zguba,
I potrafię wysiłkiem zmyślnego kadłuba
Zdobyć się na pieszczoty słodkie, jak czereśnie,
Których dotąd nikt nigdy nie oglądał we śnie!”

Ona mu się broni,
A on mówi do niej:
— „Małoż ci pół człowieka, by stał się twym skarbem?
Chcę być drogą ci raną, wiernym tobie garbem!
Czyż próżni, którą nóg mych nieobecność tworzy,
Nie zapełni ból, miłość, ni jęk mych bezdroży?
Śmiech mię bierze! O, gdybym ziemię nieobjętą
Mógł uderzyć raz w życiu zdrową, silną piętą
I widzieć, jak zdeptana pod stopą wygląda!
Śpieszno mi w nieskończoność! Wiem, że mnie pożąda
I bez wstrętu spożyje me łachy i żale.
Są gdzieś dłonie mi chętne i usta — korale,
Co od głów się przesuną w pieszczocie ochoczej
Aż do stóp, których niema! Niech wóz się potoczy
Na przełaj — tam, gdzie właśnie ode mnie zdaleka
Ktokolwiek, zwierz lub robak, na mą miłość czeka!”

Ona mu się broni,
A on w zaświat stroni,
Ona go swoim czarem do bólu zachęca,
A on patrzy, nie patrząc, i korbę pokręca
I odjeżdża — odjeżdża — gdziekolwiek — pośpiesznie,
Turkocząc i furkocząc niezgrabnie i śmiesznie,
Odjeżdża, kalekując, w poszukiwań znoje,
W kraje przygód miłosnych, w wieczne niepokoje.

SZEWCZYK

W mgłach daleczeje sierp księżyca.
Zatkwiony ostrzem w czub komina,
Latarnia się na palcach wspina
W mrok, gdzie już kończy się ulica.
Obłędny szewczyk — kuternoga
Szyje, wpatrzony w zmór odmęty,
Buty na miarę stopy Boga,
Co mu na imię — Nieobjęty!

Błogosławiony trud,
Z którego twórczej mocy
Powstaje taki but
Wśród takiej srebrnej nocy!

Boże obłoków, Boże rosy,
Naści z mej dłoni dar obfity,
Abyś nie chadzał w niebie bosy
I stóp nie ranił o błękity!
Niech duchy, paląc gwiazd pochodnie,
Powiedzą kiedyś w chmur powodzi,
Że tam, gdzie na świat szewc przychodzi,
Bóg przyobuty bywa godnie!

Błogosławiony trud,
Z którego twórczej mocy
Powstaje taki but
Wśród takiej srebrnej nocy!

Dałeś mi, Boże, kęs istnienia,
Co mi na całą starczy drogę, —
Przebacz, że wpośród nędzy cienia
Nic ci, prócz butów, dać nie mogę.
W szyciu nic niema, oprócz szycia,
Więc szyjmy, póki starczy siły!
W życiu nic niema, oprócz życia,
Więc żyjmy aż po kres mogiły!

Błogosławiony trud,
Z którego twórczej mocy
Powstaje taki but
Wśród takiej srebrnej nocy!

GARBUS

Mrze garbus dosyć korzystnie:
W pogodę i w babie lato.
Garbaty żywot miał istnie,
I śmierć ma istnie garbatą.

Mrze w drodze, w mgieł upowiciu
Jakby baśń trudną rozstrzygał,
A nic nie robił w tem życiu,
Jeno garb dźwigał i dźwigał.

Tym garbem żebrał i tańczył,
Tym garbem dumał i roił,
Do snu na plecach go niańczył,
Krwią własną karmił i poił.

A teraz śmierć sobie skarbi,
W jej mrok wydłużył już szyję,
Jeno garb jeszcze się garbi,
Pokątnie żyje i tyje.

Przeżył swojego wielbłąda
O równą swej tuszy chwilę,
Nieboszczyk ciemność ogląda,
A on — te w słońcu motyle.

I do zmarłego dźwigacza
Powiada, grożąc swą kłodą:
— „Co ten twój upór oznacza,
„Żeś wpoprzek legł mi przegrodą?

„Czyś w mgle potracił kolana?
„Czyś snem pomiażdżył swe nogi?
„Po coś mię brał na barana,
„By zgubić drogę w pół drogi?

„Czemuś łbem utkwił na cieniu?
„Z trudem w twych barach się mieszczę!
„Ciekawym, wieczysty leniu.
„Dokąd poniesiesz mnie jeszcze?”

RĘKA

Podczas, gdy ciało w mękach żebraczego postu
Kurczyło się, jak ochłap wyschłego moczaru,
Ręka ma w samowolnym obłędzie rozrostu
Wszerz i wzwyż potworniała od żądzy bezmiaru.
Wypaczona od skwarów i pusta, jak dzieża,
Miażdżąc stawów hamulce, rosła mi i rosła,
Czując radość zawczasu ciosanego wiosła,
Co już w samym zapłodku śni morskie bezbrzeża!

Ręko, nadmierna Ręko,
W pięść modlitewną się złóż!
Męko, nadmierna Męko,
Zmalej i skurcz się i znuż!

My, co mamy dłoń większą nad zamiar człowieka,
Pośpieszniej się od niego lub od niej oddalmy!
Jakże znikąd przyszliśmy i jakże zdaleka,
Że dłoń nasza w świat rzuca nieludzki cień palmy!
Sen unika jej w nocy, ptak płoszy się we dnie,
Pierś dziewczęca nie spocznie w jej chwytnej ustroni!
Przechodzień na jej widok wzdraga się i blednie,
Bo nie starczy jałmużny dla tak wielkiej dłoni!

Ręko, nadmierna Ręko,
W pięść modlitewną się złóż!
Męko, nadmierna Męko,
Zmalej i skurcz się i znuż!

Przekroczyła mych kości zbolałe granice,
Przerosła moją duszę, sumienie i łoże,
I lękam się, że skoro ukryję w niej lice,
Nigdy już ich na światy nie wyłonię boże!
A gdy nią się przeżegnam — przesadny znak krzyża,
Obłąkany rozpędem zbytniego ogromu,
Źdźbłem zaledwo się garnie do mego pobliża,
A resztą — pierzcha w mroki, nieznane nikomu!

Ręko, nadmierna Ręko,
W pięść modlitewną się złóż!
Męko, nadmierna Męko,
Zmalej i skurcz się i znuż!

ŻOŁNIERZ

Wrócił żołnierz na wiosnę z wojennej wyprawy,
Ale bardzo niemrawy i bardzo koślawy.

Kula go tak schłostała po nogach i bokach,
Że nie mógł iść inaczej, jak tylko w poskokach.

Stał się smutku wesołkiem, skoczkiem swej niedoli.
Śmieszył ludzi tym bólem, co, tak skacząc, boli.

Śmieszył skargi hołubcem i żalu wyrwasem
I żmudnego cierpienia nagłym wywijasem.

Zwlókł się do swej chałupy: — „Idź precz popod płoty,
„Niepotrzebny nam skoczek w polu do roboty!"

Pobiegł do swego kuma, co w kościele dzwonił,
Lecz ten nie chciał go poznać i kijem postronił.

Podreptał do kochanki, a ta się zaśmiała
Ramionami, biodrami, wszystką mocą ciała!

— „Z takim w łożu drygałą mam tańczyć do śmierci?
„Ciała ledwo ćwierć miary, a skoków — trzy ćwierci!

„Ani myślę ci dotrwać w takim niedopląsie!
„Ani myślę wargami sypiać na twym wąsie!

„Zanadtoś mi wyskoczny do nieba na przełaj!
„Idź-że sobie gdziekolwiek i nie klnij i nie łaj!"

Więc poszedł do figury, co stała przy drodze:
— „Chryste, nawskroś sosnowy, a zamyśl się srodze!

„Nie wiem, czyja cię ręka ciosała wyśmiewna,
„Lecz to wiem, że skąpiła urody i drewna.

„Masz kalekie kolana i kalekie nogi,
„Pewno skaczesz, miast chodzić, unikając drogi?

„Taki z ciebie chudzina, takie nic z obłoków,
„Że mi będziesz dobranym towarzyszem skoków."

Chrystus, słysząc te słowa, zsunął się na ziemię,
Ów, co Boga wyciosał, bity bywał w ciemię!

Obie ręce miał lewe, obie nogi — prawe,
Sosnowemi stopami podziurawił trawę.

„Marna ze mnie sośnina, lecz piechur nie marny,
„Przejdę wieczność piechtami, chociażem niezdarny.

„Pójdziemy nierozłącznie, bo wspólna nam droga,
„Będzie nieco człowieka, będzie nieco Boga.

„Podzielimy się męką — podzielnać jest męka! —
„Wszak ta sama nas ludzka skoślawiła ręka.

„Tobie trocha śmieszności, mnie śmieszności trocha,
„Kto się pierwszy zaśmieje — ten pierwszy pokocha.

„Ty podeprzesz mię ciałem, ja ciebie sośniną,
„A co ma się nam zdarzyć, niech się zdarzy ino!"

I wzięli się za ręce i poszli niezwłocznie,
Wadząc nogą o nogę śmiesznie i poskocznie.

I szli godzin wieczystych niewiadomo ile,
Gdzież bo owe zegary, co wybrzmią te chwile?

Mijały dnie i noce, którym mijać chce się,
I mijało bezpole, bezkrzewie, bezlesie.

I nastała wichura i ciemność bez końca
I straszna nieobecność wszelakiego słońca.

Kto tam z nocy na północ w burzę i zawieję
Tak bardzo człowieczeje i tak bożyścieje?

To dwa boże kulawce, dwa rzewne cudaki
Kuleją byle jako w świat nie byle jaki!

Jeden idzie w weselu, drugi w bezżałobie,
A obydwaj nawzajem zakochani w sobie.

Kulał Bóg, kulał człowiek, a żaden — za mało,
Nikt się nigdy nie dowie, co w nich tak kulało?

Skakali jako trzeba i jako nie trzeba,
Aż wreszcie doskoczyli do samego nieba!

VI

TRZY RÓŻE

TRZY RÓŻE

W sąsiedniej studni rdzawi się szczęk wiadra.
W ogrodzie cisza. Na kwiatach śpią skwary,
Z poza zieleni szarzeje płot stary.
Skrzy się ku słońcu sęk w płocie i zadra,
O wodę z pluskiem uderzył spód wiadra.

Spójrzmy przez liście na obłoki w niebie
I na promieni po gałęziach załom,
Zbliżmy swe dusze i pozwólmy ciałom
Być tem, czem wzajem pragną być dla siebie!
Spójrzmy przez liście na obłoki w niebie.

Woń róż, śpiew ptaków i dwie dusze znojne,
I dwa te ciała, ukryte w zieleni,
I ten ład słońca wśród bezładu cieni,
I najście ciszy nagłe, niespokojne,
Woń róż, śpiew ptaków i dwie dusze znojne.

A jeśli jeszcze, prócz duszy i ciała,
Jest w tym ogrodzie jakaś róża trzecia,
Której purpura przetrwa snów stulecia,
To wszakże ona też nam w piersi pała —
Ta róża trzecia, prócz duszy i ciała!

ROK NIEISTNIENIA

Nadchodzi rok nieistnienia, nadchodzi straszne bezkwiecie,
W tym roku wszystkie dziewczęta wyginą, niby motyle.
Ja pierwsza blednę samochcąc i umrzeć muszę za chwilę —
I już umieram — o, spojrzyj! — i już mnie niema na świecie!

Ucz się pożądać mej śmierci, ponętne pieścić nietrwanie,
Całować mrzonkę, co dla cię kształt ust czerwonych przybiera.
I wierzyć w radość mych cieni i w oczu mych obcowanie:
Nie widzi, jeno obcuje ten, co naprawdę umiera.

Uczył się kochać umarłą, pieścił dłoń, której nie było,
Całował oczy zamknięte, każdą powiekę z osobna,
Porozumiewał się z piersią, jak z pełną pieszczot mogiłą, —
Ale nie wiedział, co czuła, bo nazbyt była zagrobna.

Czy czujesz moje pieszczoty i pocałunki i radość?
Czyli nie bolą cię mroki i nieistnienia nadmiary?
O, wyznaj wszystko do końca, uczyń tęsknocie mej zadość,
Zadrżyj z miłości pośmiertnej, jeślić dostępne jej czary!

Czemuż tak wątpisz o zmarłej? Wszak już do cudów nawykam,
Miłości jestem posłuszna i szczęściu się nie opieram!
I czuję twoją pieszczotę i coraz bardziej zanikam,
I czuję twe pocałunki i coraz bardziej umieram.

WIECZOREM

Wieczorem było, wieczorem,
Gdy zorza gasła nad borem,
    Dzienny ulatniał się skwar,
    Rosa nam spadła na głowy
    I zmierzchem dymił się jar,
        Jar kalinowy.

Zdaleka idzie, zdaleka
Ten mrok, co kwiatów się zrzeka.
    Gdy, płosząc ospałą woń,
    Chłód powiał nad pola zżęte,
    O moją zagrzałaś skroń
        Dłonie zziębnięte.

Nie wolno patrzeć, nie wolno
Bez pieszczot w ciemność dokolną!
    Zbłąkanych w obszarach pól
    Nie złączy żaden sen złoty,
    Ni lęk, ni zgroza, ni ból,
        Nic — prócz pieszczoty!



Śnież się, w duszy mojej śnież,
Piersi, nocą całowana,
Co zachować przez sen chcesz
Usta moje aż do rana!

Znój się, w ciele mojem znój,
Miłujących rąk pogłado,
Coś mi dreszcz piększyła mój,
Przodując zadumą bladą!

Trwoń się, ogniu świecy, trwoń
Na tę pościel, na tę lnianą,
Gdzieś rozwidnił białą skroń,
U nóg moich zapodzianą!

SCHADZKA SPÓŹNIONA

Pójdziemy śladem cienia i szelestu
Po ścieżce, która wzdłuż rosą połyska.
Popod krzewami sztywnego agrestu
Pachną na słońcu świeże kretowiska.

W powiędłych liściach, pokurczonych chłodem,
Lśnią srebrne resztki wczorajszej ulewy,
Nad zapuszczonym oddawna ogrodem
Słychać gawronów trzepoty i śpiewy.

Obok jabłoni — przypadkowa sosna
Swe igły w bladym zanurza błękicie.
O, jakże prędko przeminęła wiosna,
Pozostawiając przelęknione życie!

Coraz to mocniej otulasz się w chustę,
W której pierś twoja, jak w gnieździe, się chowa,
Trzeba nam było rzec dawniej te słowa,
Co dzisiaj zabrzmią — spóźnione i puste!

Trzeba nam było spleść dłonie uparte
I z zamkniętemi iść w słońce oczyma!
Dzisiaj te oczy zostaną — otwarte,
Dzisiaj się warga w pół drogi zatrzyma…



Pożarze pierśny, płomieniu ustny,
Bezsenne noce, senne poranki!
Bądź pochwalony i bądź rozpustny,
Uśmiechu wiernej mojej kochanki!

Choć, zasypiając, nie wie, że pieszczę,
Lecz drga opodal swemi ramiony…
Raduj mnie jeszcze i męcz mnie jeszcze,
Śnie, jej biodrami w łożu wyśniony!



Ja tu stoję za drzwiami — za klonowemi,
I wciąż milczę ustami — rozkochanemi.
Noc nadchodzi w me ślady — tą samą drogą,
Pociemniało naokół — niema nikogo!

Od miłości zamieram — chętnie zamieram,
I drzwi twoje rozwieram — nagle rozwieram,
I do twojej alkowy wbiegam uparcie,
I przy łożu twem staję, niby na warcie!

Żaden lęk mię nie zlęknie i nie wyżenie,
Nawet rąk twych po murach spłoszone cienie,
Choćbyś mnie zaklinała wszystkiemi słowy,
Już ja nigdy nie wyjdę z twojej alkowy!



Co w mgłach czyni żagiel na głębinie?
Nic, prócz tego, że żegluje.
A co wiosna w zielonej dolinie?
Nic, prócz tego, że wiosnuje.

Czem są rany, co pierś tobie krwawią?
To amulet koralowy.
A czem łzy, co gardło twoje dławią?
To różaniec bursztynowy.

Czem ty byłeś o słońca zachodzie?
Byłem duchem, byłem ciałem.
Czemuś zabił dziewczynę w ogrodzie?
Nie zabiłem, lecz kochałem.

SCHADZKA

Z zielonym żukiem na odwianym płatku
        Róża, kosmata od rosy,
        Purpurowieje w niebiosy.
Twój ogród płonie w zieleni dostatku,
        Nie ja — lecz sen mój i głód
        Kołaczą do twoich wrót.

Dłoń, której wzywasz, otwiera ci wrota.
        Oto — pierś moja i lice, —
        Idź za mną w moją świetlicę!
W świetlicy — wiosna i blask i spiekota, —
        Ja — zciszę wrzenie mej krwi,
        Ty — zamkniesz okna i drzwi.

Zamknąłem okna i drzwi w białym murze.
        Czemuż twarz twoja pobladła?
        Nie patrz w głąb swego zwierciadła.
Tam — za oknami jest — ogród i róże,
        Nie mogę przypomnieć już,
        Ile zakląłem tych róż?

Radbyś mi róże dać w winie i w chlebie,
        Róże się cisną do gardła!
        Matka mi wczoraj umarła…
Nie wiem, czy wolno całować mi ciebie?…
        O śmierci rzucam ci wieść,
        A ty mnie odstąp lub pieść!…

Otworzę okna, drzwi w słońce otworzę,
        Rozwidnię ściany i sprzęty,
        Rozbudzę ogród, snem zdjęty!
Ku ogrodowi przydźwignę twe łoże,
        Pieszczotą zmącę ci krew,
        Wsłuchany w ogrodu śpiew!



Kwapiły się burze,
Opóźnił się cud!
Powymarły róże
W cieniu twoich wrót.

O kulach przez błonie
Szedłem do tych róż.
Przyjść raz drugi po nie
Nie wolno mi już!



U wpółrozwartych stoim drzwi,
Marszcząc ku dalom swoje brwi.
Nic — tylko próg, tej chaty próg,
Gładzony wciąż utrudą nóg, —
A zdala w słońcu szumi las,
I wiem, że w lesie niema nas!

W dłoni już pełny dzierżysz dzban,
Krew doń upływa z naszych ran,
Nic — tylko krew i tylko krew
I dwojga ust wylękły śpiew, —
A zdala w słońcu szumi las,
I wiem, że w lesie niema nas!



Dziś w naszego spotkania rocznicę
Pozawrzemy szczelnie okiennice,
By powtórzyć wśród nocnej ciemnoty
Dawne nasze, najpierwsze pieszczoty.
Dawne słowa z dni pierwszych kochania,
Chociaż każde dziś ustom się wzbrania,
Każde snem się nieśmiałym kolebie,
Nas niepewne i niepewne siebie.
Lecz, stłumiwszy nieufność rozsądku,
Powtórzymy wszystkie od początku.

WYZNANIE

Nie rań pogardą tej obcej dziewczyny,
Jej czar jest inny, niżeli twój czar.
Tyś memu ciału dreszcz w świecie jedyny,
A ona ust mi chce oddać maliny, —
Czyjaż dłoń zdoła odtrącić ten dar?

Wszak tobie pierwszej tę miłość wyznaję, —
Ona nic nie wie, choć czeka i śni.
Szedłbym tak do niej, jak w lasy i w gaje,
A odkąd znam ją, wciąż mi się wydaje,
Że policzone są wiosny mej dni!

Wargi ma falą w uśmiechu ozdobne,
Jaśnistym włosem polśnioną ma skroń,
Spojrzenia — pilne i zlekka żałobne,
Dłonie do twoich niechcący podobne, —
Pieszcząc, pomyślę, że pieszczę twą dłoń…

Jej zaklęć szepty nie zmienią mnie wcale,
Jej pocałunek nie rozłączy nas!
Pozwól mi odejść w ust tamtych korale,
Bym łkał przez chwilę, bym kochał niestale
Raz jeszcze jeden, ach, tylko ten raz!



Ponad zakres śnieżycy, ponad wicher i zamieć
Duch mój leci ku tobie w świateł kręgi i smugi.
Czyjaś rozpacz się sili w biały posąg okamieć,
W biały posąg nad brzegiem ociemniałej jarugi.

Odkąd znikłaś w objęciach niedomkniętej w świat bramy
Odkąd zbladłaś, schorzała moich wspomnień bezsiłą,
Tak się dziwnie nie znamy, tak się strasznie nie znamy,
Jakby nigdy i nigdzie nas na świecie nie było.

Znajdźmy siebie raz jeszcze wśród wichury i cienia,
Zakochajmy się w sobie nad otchłanią wieczoru
Tą miłością powtórną, co już nie chce zbawienia,
Tem pragnieniem ostatniem, co już nie zna oporu!

Zakochajmy się w sobie krwawem serca wyzuciem
Z tego szczęścia, o którem nie mówimy nikomu,
Zakochajmy się w sobie naszych śmierci przeczuciem,
Dwojga śmierci, co w jednym pragną spełnić się domu.

Rwie się w strzępy wichura, jakby szumna jej grzywa
Rozszarpała się nagle o sękatą głąb lasu.
Życie, niegdyś zranione, z żył we trwodze upływa,
Coraz bardziej na uśmiech brak odwagi i czasu!

Ponad zakres śnieżycy, ponad wicher i zamieć
Duch mój leci ku tobie w świateł kręgi i smugi.
Czyjaś rozpacz się sili w biały posąg okamieć,
W biały posąg nad brzegiem ociemniałej jarugi.

POWRÓT

Gwiazdo, coś spadła, śnij mi się, śnij!
W progu-m wędrowny porzucił kij,
    Byłem ja leśny,
    Byłem bezkresny,
    A dzisiaj — czyj?

Dziś — twój, dziewczyno! Dzwoń-że mi, dzwoń,
Wichrze, zszarpany o wonną błoń!
    Jedną pieszczotą
    Znuży się oto
    Dusza i dłoń.

W ogniu, dziewczyno, spal mi się, spal!
Jednaka we mnie radość i żal —
    Czyli ja w zbożu,
    Czy w twojem łożu,
    Czy wpośród fal.

Dwa ciała w mroku! Nie bój się, nie!
Wraz z tobą ginę w tym samym śnie, —
    Kto zwiedził ziemię,
    Ten duchem drzemie
    Na jezior dnie!

DWOJE LUDZIEŃKÓW

Często w duszy mi dzwoni pieśń, wyłkana w żałobie
O tych dwojgu ludzieńkach, co kochali się w sobie.

Lecz w ogrodzie szept pierwszy miłosnego wyznania
Stał się dla nich przymusem do nagłego rozstania.

Nie widzieli się długo z czyjejś woli i winy,
A czas ciągle upływał — bezpowrotny, jedyny.

A gdy zeszli się, dłonie wyciągając po kwiecie,
Zachorzeli tak bardzo, jak nikt dotąd na świecie!

Pod jaworem — dwa łóżka, pod jaworem — dwa cienie,
Pod jaworem ostatnie, beznadziejne spojrzenie.

I pomarli oboje bez pieszczoty, bez grzechu,
Bez łzy szczęścia na oczach, bez jednego uśmiechu.

Ust ich czerwień zagasła w zimnym śmierci fiolecie,
I pobledli tak bardzo, jak nikt dotąd na świecie!

Chcieli jeszcze się kochać poza własną mogiłą,
Ale miłość umarła, już miłości nie było.

I poklękli spóźnieni u niedoli swej proga,
By się modlić o wszystko, lecz nie było już Boga.

Więc sił resztą dotrwali aż do wiosny, do lata,
By powrócić na ziemię, — lecz nie było już świata.

DUSZA W NIEBIOSACH

Przybyła dusza na klęczkach do nieba w bożą obczyznę,
Nie chciała patrzeć na gwiazdy i na wieczności pierwszyznę.

Nie chciała uledz weselu, ni nowem jaśnieć obliczem,
Ani wspominać nikogo, ani zapomnieć o niczem.

I rozpuściła warkocze i pomyślała w błękicie,
Że w niekochanych objęciach przemarnowała swe życie.

Bez zdrady i bez oporu, starannie kryjąc swą ranę,
Pieściła usta nielube i oczy niemiłowane.

I trwała dla nich bezwolna, i kwitła dla nich bezduszna
I przezywała je — losem i była losom posłuszna.

A nie kochała tak tkliwie, a nie kochała tak czule,
Ze nikt w jej jasnym uśmiechu nie trafił myślą na bóle.

Lecz teraz nagle pojęła, że wobec Boga i nieba
Już nic nie wolno ukrywać i nic ukrywać nie trzeba.

Śmierć w niej obnaża pośpiesznie prawdę tak długo tajoną,
Tą prawdą skrzą się źrenice, tą prawdą błyska się łono!

I dusza lękiem spłonęła, że wkrótce po jej pogrzebie
Przyjdzie w ślad za nią kochanek, aby odnaleźć ją w niebie.

Wyciągnie ku niej ramiona, ziemskiej wyzbyte rozpaczy,
I zajrzy w oczy i dawne jej niekochanie zobaczy.

VII

PURURAWA I URWASI

PURURAWA I URWASI

Pururawa w godzinie, gdy słońce mgły krasi,
Urzał nimfę wód przaśnych — Indjankę Urwasi.

Wynurzyła dłoń z wody, a za dłonią — głowę,
A niedługo — popierśną kibici połowę.

Górowała rozbieżnej pierścieniami fali,
Palcami zlekka pierśnych tykając korali.

Purpurawa podpatrzył, jak nieśmiertelniało
Jej obcisłe przywdziane powierzch ducha ciało.

Pomiażdżyła mu serce miłości nagłota —
Jął się skradać ku bogu ruchem snu i kota.

Porwał ją w swe ramiona ku warg swych potrzebie.
— „Ciebież tulę w objęciu? Odpowiedz, że ciebie!"

Bożym wrzaskiem przeczyła rąk jego przemocy,
Wyrywała się z ramion aż do późnej nocy!

Ale on ją pod leśnym uciszył pagórem,
Wtłoczył żywcem do wora i przewiązał sznurem.

Jak złodziej, pomykając jarami po jarach,
Powrócił do dom z worem wrzeszczącym na barach.

Wiedział, co przyniósł w worze — a i poco — wiedział!
Stał u progu zdyszany, — wór mu u nóg siedział.

Świerszcz w chałupie skowronił, jaskólił i brzęczał,
A on stał zadumany, a wór nagle klęczał.

— „Wróć mi wolę ruczajną, wróć stawne bezczasy!
„Więcej we mnie drga boga, niż dziewczęcej krasy."

— „Darmo pragniesz się z wora prośbą wyszeleścić!
„Chcę boga, com go schwytał, raz w życiu popieścić!" —

— „Cóż ci po tej pieszczocie, co rozkosz przekracza?
„Cóż ci po tej rozkoszy, co w otchłań się stacza?"

— „Niech się rozkosz odmieni aż nie do poznania,

„Już ja nigdy swojego nie wściągnę kochania!”

I wyłonił ją z wora na żądz swych bezdroża:
— „Niemasz wokół nikogo, oprócz nas i łoża!”

— „Oddam ci wniebowzbitą mych piersi urodę,
„Warg mych odwilż różaną i ramion dogodę.

„Jeno ukryj w pieszczocie nagość swego ciała,
„Abym ludzkich upojeń ja — bóg — nie widziała!” —

Pociemku barwił łoże we kwiaty i liście,
W ciemnem łożu do niego polgnęła biodrzyście.

Kształt jej wgarniał w objęcia, płonął w jej upale,
A ustami wyławiał dwu piersi korale.

— „Kiedyż ty mnie podpatrzysz, jako w ciebie dyszę?”
— „Nigdy cię nie podpatrzę! Dość, że dech twój słyszę!”

— „Czemuż nie chcesz oczyma wyjść szczęściu na drogę?”
— „Pocóż jeszcze mam widzieć to, co kochać mogę?”

— „Chciałbym w oczach twych odbić radość, co mózg mroczy!”
— „Bądź-że mi niewidzialny, póki mam te oczy.”

I czuł, w sobie zamilkły, że bogini ciało,
Wieczyściejąc ku niemu, chętnie namdlewało.

I namdlewał z niem razem rozkoszy bezsiłą,
Aż namdlał w taki bezświat, że go już nie było.

Nie było go na drogach, ni w ukryciu alej,
Ani w nim, ni poza nim, ni bliżej, ni dalej!

Wezbrany poza łoża miłosnego miedzą,
Jeno poił się słodką o sobie niewiedzą.

I tak uczył się nie być od nocy do świtu,
Aż się zbudził przy gwiazdach — bywalec niebytu.

I ujrzał, że bogini, rozkoszą opiła,
W mrocznem łożu jaśnistym kształtem się ciemniła.

— „Ciemnij się w moją miłość, rozum mi odbieraj,
„Ale w moich objęciach nigdy nie umieraj!”

— „Jeno tyle umieram, ile miłość każe.
„A spłodzę tobie syna w mych bioder pożarze.”

I spłodziła mu syna na polu, w południe,
Kiedy zboże ku słońcu złoci się bezludnie.

— „Bogom w oczy wsmucony jestem od spowicia,
„A weseli się we mnie życie z poza życia.

„Pójdźcie ze mną do lasu nieopodal gaju,
„Pragnę zbadać twarz ojców, odbitą w ruczaju.

„Jest tam skwar w macierzance i chłód w leśnym dzwońcu,
„Spróbujemy we troje zanieistnieć w słońcu.”

Poszli za nim do dziwnie ruczajnego lasu,
Gdzie czas szumi wśród liści, a liście wśród czasu.

Poszli w skwar macierzanki, rozpełzłej samotnie,
I zabrnęli w chłód dzwońców — i już bezpowrotnie.

Troje było ich w lesie: dwa i jedno ciało,
Nikt nie wie, co się z nimi stało, lub nie stało.

VIII

NOC BEZSENNA

NOC BEZSENNA

Świeci woda o północy,
Księżyc okna przewiał wskroś.
Pełen mocy i niemocy
Księżyc okna przewiał wskroś.
Bezimienne i ponure
Idą ku mnie poprzez chmurę:
Mrok — po pierwsze, blask — po wtóre,
A po trzecie — jeszcze ktoś.

Gdy tak słucham przyczajony,
Ktoś zapukał raz i raz,
W moje wrota z tamtej strony
Ktoś zapukał raz i raz.
Kto tam puka w moje wrota?
— „To — my: Wicher i Tęsknota,
„I ja — Ciemność z popod płota,
„Otwórz prędzej, bo już czas!”

Otworzyłem w imię Boga —
Wszystko troje wbiegło snać!
Tętni pułap i podłoga:
Wszystko troje wbiegło snać!
I zdobywszy łoże moje,
Co zna nocne niepokoje,
Wszystko troje, wszystko troje
Legło rzędem, aby spać.

— „Razem z tobą będziem spali
„W jednem łożu za pan brat.
„Niech się przyśni sznur korali
„W jednem łożu za pan brat.” —
Wicher przez sen w bok się miota,
Jęczy Ciemność z popod płota,
I przeciąga się Tęsknota,
Ziewająca w cały świat!



Tam na obczyźnie, gdy próżni ostoję
Noc wiekuista w bezgraniczach da mi,
Pójdę, zbłąkany pomiędzy śmierciami,
A cobądź spotkam — to nie będzie moje.

Pełen niczyjej ciemności i zgrozy,
Samemu sobie obcą będę marą, —
Z jakążbym wówczas miłością i wiarą
Modlił się choćby do obrazu brzozy!

Jakżebym spłonął łzą szczęścia gorącą,
Gdybym znienacka wśród mroków bezczynu
Natrafił dłonią, Boga szukającą,
Na gniazdo ptasie lub kwiaty jaśminu.

W PRZEDDZIEŃ SWEGO ZMARTWYCHWSTANIA

W przeddzień swego zmartwychwstania, w przeddzień żywota,
Bóg, leżąc w mogile, żmudne liczy chwile.
A przykuła go do ziemi ciała ciężkota.
Śmierć mu w oczy wieje, a on samotnieje.
I śni mu się nawprost lica
Betleemska błyskawica
I żłób i siano.

I śni mu się brzeg jeziora ozieleniały,
A smuga od łodzi po jeziorze chodzi,
I śnią mu się owe gaje, co tak szumiały,
Choć gajom boleśnie być marami we śnie!
A to wzgórze, to oliwne,
We wspomnieniu takie dziwne,
Takie dalekie!

I śnią mu się nasze twarze, niby niczyje,
Ręce nasze krwawe i lewe i prawe, —
I to życie, co po śmierci nie wie, gdzie żyje,
Jeno szuka siebie po własnym pogrzebie.
Mówmy wobec jego zgonu
To, co mówi dzwon do dzwonu
Późnym wieczorem.

Nie zakłóćmy snu bożego, bożej niemoty!
Któż Boga obudzi pierwszy z pośród ludzi?
Kto rozepnie w jego cieniu swoje namioty?
Cień się jego szerzy w bezbrzeż po bezbrzeży,
A my stójmy zwarłem kołem
I śnijmy się Bogu społem,
Póki czas jeszcze.



W kraju bardzo dalekim, smucąc się ku wiośnie,
Tak synowie swym ojcom mówią bezlitośnie:
— „O, jakże wy bezradni! O, jakże wy starzy!
Już nie chcemy w chałupach widzieć waszych twarzy,
Już zabrakło nam lichej szczęścia odrobiny,
By się z wami podzielić z nadejściem godziny.
I łez w oczach nam zbrakło, ażeby ich solą
Zaprawić czczość tych bólów, co wiedzą, że bolą.
Już nas nie stać na smutek, co się w nas zapodział!
Oto skończył się smutku, łez i szczęścia podział,
Nożem sami przetnijcie nić swego żywota
Tak, byśmy nie widzieli, jak śmierć wami miotał!"

Dzisiaj, gdym w blasku świecy nawprost ciebie siedział,
Wzrok mój, nagle zlękniony, to samo powiedział.



Pociemku, pociemku łkasz,
Bezradność twych łez rozumiem!
Schorzałą śmiertelnie twarz
Radośnie całować umiem.

Do końca nie zbraknie mąk,
Do końca wystarczy mocy!
Zmarniałych, zmarniałych rąk
Potrafię pożądać w nocy!

Oględnie z rozkoszy mdlej
Tą piersią, co z trudem dyszy!
Do śmierci, do śmierci twej
Wraz z tobą nawykam w ciszy.

WARKOCZ

Znowu nędza do ucha nam śpiewa,
I tej śpiewki słuchamy bezradnie.
W piecu reszta dopala się drzewa, —
A co jutro uczynić wypadnie?

Mówię do cię z koślawym uśmiechem:
— „Mam ja trąby, fujary, organy,
„Śpiewak ze mnie, co kupczy swem echem, —
„Gdzież mam echu ustawić stragany?”

Z bezmyślnego wyrazem skupienia
Dzieci nasze w nas patrzą ciekawie.
Ty mi ruchem wskazujesz ramienia
Bose nogi, zwieszone na ławie.

Ból się skrzętny w twych wargach trzepocze,
Aż myśl zbawcza w tym bólu urasta:
— „Wiem, co zrobię! Obetnę warkocze
„I na sprzedaż poniosę do miasta!

„Głód je codzień przepala zarzewiem,
„Codzień wiotsze i wartość już tracą.
„Tak mi smutno i straszno, bo nie wiem,
„Ile ludzie za warkocz zapłacą?”

ŚNIEG

Pamiętam ów ruchliwie rozbłyskany szron
I śniegu ociężałe w gałęziach nawiesie,
I jego nieustanny z drzew na ziemię zron,
I uczucie, że w słońcu razem z śniegiem skrzę się.

A on ciągle narastał tu w kopiec, tam — w stos,
I drzewom białych czupryn coraz to dokładał,
Ślepił oczy i łechtał podbródek i nos,
I fruwał — i tkwił w próżni — i bujał i padał.

I pamiętam ów niski, wpół zapadły dom
I za szybami włóczek różnobarwne wzory.
Kto tam mieszkał? Pytanie — czy człowiek, czy gnom?
Byłem dzieckiem. Śnieg bielą zasnuwał przestwory.

Dotknąłem dłonią szyby, mimo strachu mąk,
I uczułem ślad hojny, niby czarów zbytek.
Tą dłonią dotykałem mych sprzętów i ksiąg
I niańki, by ją oddać na baśni użytek…

Serce marło, gdym w dłoni unosił ten ślad
W ciszę śniegu, co, prósząc, weselił się w niebie.
Śnieg ustał — i minęło odtąd tyle lat,
Ile trzeba, by ślady zatracić do siebie.

Jakże pragnąłbym dzisiaj, gdy swe bóle znam,
Stać, jak wówczas, przed domu wpół zapadłą bramą
I widzieć, jak śnieg ziemię obiela ten sam,
Śnieg, co fruwa i buja i pada tak samo.

Z jakimż płaczem-bym zajrzał — niepoprawny śniarz —
Do szyby, by swą młodość odgrzebać w jej szronie, —
Z jakąż mocą-bym tulił uznojoną twarz
W te dawne, com je stracił, w te dziecięce dłonie!

IX

ASOKA

ASOKA

Król Asoka, na wzgórza smuklejąc odsłoniu,
Patrzał zowąd na wroga, co poległ na błoniu,
I rozżalił się duchem na wronistym koniu.

I rzekł: „Odtąd niech wrogów nie będzie na świecie,
„Niech łzom stanie się zadość, niech spoczną zamiecie, —
„Tak przysięgam: po pierwsze, po wtóre, po trzecie!”

I, ukląkłszy na mieczu, jak klęczą mocarze,
Poukochał kolejno te rany, te — wraże,
I zgromadził w pamięci przewymarłe twarze.

A na jego skinienie od owej godziny
Powstawały schroniska — dziwy tej krainy —
Dla człowieka, zwierzęcia i wszelkiej rośliny.

Oto razu pewnego w tym czasie bez czasu
Król Asoka zmiłował oczyma wśród lasu
Wierzbę, co umierała bez liści hałasu.

Zadżumiona skwarami, bez jadła, napoju,
Schła, ledwo zieleniejąc, wpośród pszczół wyroju,
W przeubogim, na zgony ordzewiałym stroju.

Król pojął z woli serca i z duszy nakazu
Jej milczenie, tak inne od milczenia głazu,
I czuł to, co się czuje — nigdy, lub odrazu.

Więc serdecznie jej sękom przyglądał się zbliska,
Więc widział, jak się zmaga i rdzą bólu błyska,
Więc poniósł własnoręcznie chorą do schroniska.

Tam jej wybrał zakątek od słońca pstrokaty,
Tam jej rany w rosiste poobłóczył szmaty,
Tam przygrywał na lutni i znosił jej kwiaty.

Ale wkrótce nadeszły rozpląsane święta,
I króla otoczyły w pałacu dziewczęta,
I zapomniał o wierzbie, — bo któż to spamięta?

I tanecznie wędrował od sali do sali

I czuł, że tchom dziewczęcym brak jakichś korali,
I że coś powierzbnego w duszy mu się żali.

Aż oto strażnik bramny otrąbił po grodzie,
Że wierzba uzdrowiona w cudnej bezprzeszkodzie
Przyszła, by odtąd szumieć w królewskim ogrodzie.

Król Asoka z pałacu wybiegł na spotkanie
I wyciągnął ramiona i poglądał na nie,
Że się tak wyciągnęły i tak niezachwianie.

I przybyłej sam wskazał wcieleniem swej dłoni,
Kędy ma się zielenić i w jakiej ustroni, —
I spełniła to wszystko tak, jak mówił do niej.

A w zwierciedle sadzawki aż do dna odbita
Jaśniała, przeciw niebu w fali wniebowzbita,
I szepnął król do siebie: „Tu niechaj rozkwita!"

A po nocy, gdy księżyc jarami się bieli,
I gdy wszystko posnęło i wszyscy posnęli,
Ona wyszła podwójnie: z ziemi i z topieli.

I biegła, pątnikując, po schodów marmurze
W głąb nieznanych pałaców — ku górze, ku górze,
Czyniąc kroki płochliwe, zwiewne i nieduże.

Do królewskiej komnaty chciała się przedostać
I wniosła do jej wnętrza niebyłą tam postać,
A własnemu wzruszeniu nie mogła już sprostać.

Ponad królem uśpionym tak długo — nie długo
Szumiała, aby senną uczcić go posługą,
I w pierś jego zieleni wlewała się strugą.

Król się zbudził i spojrzał w pośpiesznej zadumie,
I zgadnął, że go kocha, po szumie — po szumie,
I uląkł się miłości, że jej nie zrozumie.

I rzekł smutny: „Bacz na to, że kochasz daremnie,
„W słońce tobie poglądać, nie we mnie — nie we mnie!
„Jakimż darem twe dary, wierzbo, odwzajemnię?

„Chcesz połowę królestwa, czy skarbu połowę?
„Chcesz, bym ciebie na kwiatów pasował królowę?
„Otom stał się ubogi i w miłość i w mowę."

A ona mu szepnęła w którymś okamgnieniu:
— „Chcę, byś czasem znużony przystanął w mym cieniu
„I gałąź moją swemu przychylił ramieniu.

„Chcę, byś wierzył, że myślę o tobie i sobie,

„I że nie bez miłości twe ogrody zdobię.
„To — wszystko! — I byś pobyt dał mi na swym grobie.”

I król rzekł: „Wierzbo, wierzbo, iść mi z tobą w pole!
„Dolę twą, skoro trzeba, wraz z tobą przedolę, —
„Stanie się, jako pragniesz! Spełnię twoją wolę.

„Czuję szczęście, gdy duszę w twoją zieleń wyślę,
„Do miłości podobne tak bardzo, tak ściśle,
„Że jest samą miłością, skoro się zamyślę…”

Król umilkł. Chwilę wzajem patrzyli w swe światy,
Aż ona się z królewskiej wymknęła komnaty,
Nieśmiało więc powłócząc swe zielone szaty.

Król słyszał, jak radośnie w dół biegła po schodach,
I jak potem się w nocnych pogrążyła chłodach,
I jak potem szumiała w królewskich ogrodach.

X

PONAD BRZEGAMI

DON KICHOT

W jednym z pozagrobowych parków, uroczyście
Zamiecionym skrzydłami bezsennych aniołów,
W cieniu drzew, co po ziemskich dziedziczą swe liście
Pożółkłe i zbyteczne, — z duszą, niby ołów,
Ciężką, chociaż pozbytą życia nędz i lichot,
Na ławie marmurowej wysmukły Don Kichot
Siedzi, dumając nad tem, że dumać nie warto,
I pośmiertnem spojrzeniem, co nie sięga dalej,
Niźli dłoń rozmodlona, obrzuca głąb alej,
Gdzie ślad życia na piasku starannie zatarto.

Bóg darmo dłoń ku niemu wyciąga z pobliża,
Ażeby go powołać na wspólne biesiady
We mgle, którą anioły, czyniąc znaki krzyża,
Rozpraszają dla gościa. Gość niezłomnie blady
Usuwa się i stroni i w pozgonnej ciszy
Udaje, że nie widzi nic i nic nie słyszy.

Niegdyś skrzydła wiatraków sen, posłuszny wiośnie,
Złocił mu w groźne miecze rycerskich orszaków,
A dzisiaj w dłoniach Boga, podanych miłośnie,
Widzi zdradliwe skrzydła ułudnych wiatraków,
I — nieufny — uśmiechem szyderczym przesłania
Możliwość nowych błędów, snów i opętania.

I nie postrzega nawet, jak nagle — bezszmerny
Anioł do stóp mu składa purpurową różę,
Przysłaną od Madonny na znak, że w lazurze
Pamięta o rycerzu, który był jej wierny.
Lecz on, niegdyś na ziemi istny wzór rycerza,
Znieważając wysłańca i dawczynię daru,
Odwraca twarz od róży, bo już niedowierza
Kwiatom, które posądza o przebiegłość czaru.
Biały anioł się schyla nad niewiary jeńcem
I, całując go w czoło, przytłumionym głosem
Szepcze: „To także od Niej!”… Z nagłym rumieńcem
Zapłoniony odlata. A rycerz ukosem
W ślad jego napowietrzny nieufnie spoziera

I zachwiany w niewierze raz jeszcze umiera
Ową śmiercią, co wszelkim pocałunkom wzbrania
Budzić takich umarłych i w dniu zmartwychwstania!

W LOCIE

Na potworze, z majaczeń wylęgłym rozbłysku,
Mknę, kresów nienawidząc, w wieczystą swobodę,
W nieskończoność, co, szumiąc, pieni mu się w pysku,
Aż nagle zwierz mój trafia na lęk, na przeszkodę
I w miejscu, gdzie dla oczu kończą się błękity,
Staje dęba! Wiem dobrze: tu — Bóg jest ukryty!
Zastygły w zlękłym skoku nad otchłanią wiszę,
Pełno w niej jego spojrzeń i głos jego słyszę:
— „Jam — twój kres! Czekam na cię — na swego przybłędę,
A gdziekolwiek podążysz — tam ja z tobą będę!”
Nie znam kresu! Mej żądzy zuchwałym przymusem
Znagliłem zwierza w bezmiar, a on jednym susem
Przesadził otchłań z Bogiem, jak nikłą zaporę, —
I znów jestem swobodny! Niebo wokół gore!
Lecz w chwili, kiedym, gwiezdną zachłyśnięty tonią,
Dłoń w grzywie zaprzepaścił, tą zbłąkaną dłonią
W grzbiecie mego zwierzęcia zmacałem kark Boga!
On-że tak mię unosi w szału bezzacisze,
Jakby wspólna nam była w bezpowrotność droga?
Tak, to — on! Wiem napewno i głos jego słyszę:
— „Jam — twój kres! Czekam na cię — na swego przybłędę,
A gdziekolwiek podążysz — tam ja z tobą będę!”
Do głosu tego w niebie dusza ma nawyka,
A pęd mój nie ustaje, a zwierz mój nie znika!

PRAGNIENIE

Chciałbym w lesie, w odstępach dzikiego błędowia,
Mieć chałupę — plecionkę z chróstu i sitowia,
Zawieszoną wysoko w zagłębiach konarów
Nad otchłanią jam rysich i wężowych jarów.
Tam na mchu, kołysany obłędną wichurą,
Chciałbym pieścić dziewczynę obcą i ponurą,
Głaskać piersi ze świeżą od mych zębów raną
I całować twarz, ustom jako łup podaną, —
I słyszeć, jak dokoła grzechu mej pieszczoty
Pląsa burza skuszona i mdleje grom złoty,
I zwierz ryczy, ciał naszych przywabiony wonią,
Ciał górnych, wniebowziętych, co od ziemi stronią, —
I chciałbym przez przygodny wśród gałęzi przezior
Patrzeć, pieszcząc, w noc — w gwiazdy i w błyskania jezior
I za boga brać wszelkie lśniwo u błękitu,
I na piersi dziewczęcej doczekać się świtu,
A słońce witać krzykiem i wrzaskiem i wyciem,
Żyć naoślep, nie wiedząc, że to zwie się życiem, —
I pewnej nocy przez sen zaśmiać się w twarz niebu
I nie znając pokuty, modlitw, ni pogrzebu,
Jak owoc, co się paszczy żarłocznej spodziewa,
Z łoskotem i łomotem w mrok śmierci spaść z drzewa!

SPOTKANIE

Ponad tłumy błyskawic samochcąc wzniesiony,
Waży się w niebie jastrząb w dwie naprzemian strony,
Jakby miał dusze dwie!
I, szponami miłośnie objąwszy zawieję,
Wie o tem, co się w skrzydłach, gdy tak lecą, dzieje —
On jeden tylko wie!

Spragniony z nim spotkania, chcę go zmódz do zlotu
Przez odległość, co dzieli nas wśród burz łoskotu
I z żądzy mojej drwi, —
Do zlotu, co tem śmielszy, im począł się górniej, —
Do zlotu nie bez grozy, jak śmiertelny turniej,
Nie bez przelewu krwi!

Doskoczony mą strzałą, skrzydlaków zwyczajem
Spada młyńcem wraz z jakimś niebiosów rozstajem,
Bezmiaru pełen łup!
Jakgdyby z wieścią w dziobie spieszył przez otchłanie
Na umówione ze mną — dalekie spotkanie
Tu właśnie u mych stóp!

KLEOPATRA

W budynkach, na schron dziwom skleconych naprędce,
Ludzie z wosku w pośmiertnym zastygli niełądzie.
Cisza, równa liczebnie tych milczków gromadzie,
Skupia się w byle słońca zdrobniałego centce.

Tkwią te ciała o woni zagrzanej gromnicy
Na cokołach, opiętych purpurowem suknem,
Co, jak mundur odświętny sztywnej tajemnicy,
Zdradza pychę nicości każdem niemal włóknem.

Żądni mąk swych pokazu ci ludzie, jak mary,
Powtarzają bez końca zwyczajem pokuty
Zbrodnię, raz popełnioną, lub cud nie do wiary,
Co ich wyzuł z istnienia, sam z śmierci wyzuty.

Na jaw z grobu dobyci próbują swej siły
W przybytku, który w słońca kąpie się kurzawie,
Jak szpital zmartwychwstałych, zwiedzany ciekawie
Przez tych, co nie zdołali zmódz jeszcze mogiły.

Korzystając z zachwianej przez żywych podłogi,
Pożyczonym ku życiu mocują się ruchem,
Strasząc dzieci obladłe i radując bogi,
Które bawią się wszelkim złudzenia okruchem.

Wśród nich pięknem jaśnieje Egiptu królowa,
Oszklona arką dosyć dla cudów przestworną.
Piersi zdobne ma raną, jak wiśnia potworną,
W dłoni — kosz, pełen kwiatów, w kwiatach wąż się chowa.

Ilekroć słodkim jadem wąż jej pierś oślini,
Tylekroć oczy zmarłej znów się w świat odsłonią,
Jakgdyby upojnego konania mistrzyni
Łeb śmierci oswojonej pieściła swą dłonią.

Śmierć się łasi do stóp jej, niby wierna służka,
Baczna na lada szepty i lada skinienia,
I jej oczu śmiertelna w nieskończoność zmrużka
Jest tem tylko, czem dla nas chwila zamyślenia.

Kocham to ciało chore, co tai w zadumie
Czar tysiąca zmartwychwstań i śmierci tysiąca
I wie jeszcze coś więcej, niżli wiedzieć umie
Duch, co tylko raz jeden o śmierć się roztrąca.

Kocham dłoń, do wężowej nawykłą pieszczoty,
Paznokcie, zabarwione wypłowiałym różem,
Piersi, nigdy niesyte swej własnej zniszczoty,
I dwa zęby u wargi, pokalanej kurzem.

Kocham pozór oddechu, co łamie pierś białą,
Szat, zużytych na cuda, postrzępione kraje, —
I nie wiem, czy bym pieścił skwapliwiej to ciało
W chwili, kiedy umiera, czy też — zmartwychwstaje.

DWAJ SKAZAŃCY

Widziałem dwóch skazańców, co na swem uboczu
Wysłuchali wyroku pod bagnetów strażą
I na tłum zgromadzony patrzyli bez oczu,
Jak ślepiec, kiedy zmierzchu wypatruje twarzą.
Jeden z nich, licząc jakieś ubiegłe godziny,
O widzenie się z ojcem poprosił nieśmiało,
A drugi wnet zawołał: „Ja nie mam rodziny!”
A miał ją, lecz mieć nie chciał… Tak mu się zdawało.

Śnili teraz, że chata, niegdyś ludna, traci
Ich ciała, bezpowrotnie wyszłe z jej alkierza.
Czuli próżnię na miarę wzrostu swych postaci,
Jak klatka, z której nagle wypłoszono zwierza.
Jeden z nich, zapatrzony w strzęp własnego cienia,
Chciwie wody zażądał wargą obolałą,
A drugi wnet zawołał: „Ja nie mam pragnienia!”
A miał je, lecz mieć nie chciał… Tak mu się zdawało.

ROZMOWA

Ciało mówi do duszy: Jestem tu — w tych światach.
Gdzie i ty się zbłąkałaś. Ta sama nam droga.
Spojrzyj tylko: woń wdycham, tarzam się we kwiatach,
Ocierani się o słońce, o sen i o Boga,
O którym mówisz zawsze ze smutkiem, jakgdyby
Smutek był wiarą… Spojrzyj: jestem teraz w lesie,
Bawią mię złote bąki i czerwone grzyby
I to, że drzewom wokół tak zielenić chce się!
Jeśli wolisz — każ mi się zapodziać na łące,
A zobaczysz, jak zaraz swoją białość zmącę
Purpurą rośnych maków, których dotyk nagły
Budzi szczęście i życie tak jasno tłomaczy!
Niech mię tylko po oczach kłos uderzy smagły,
A już świat się rozwidnia i wiem, co świat znaczy.
Nie przeszkadzaj mi wiedzieć! Milcz, dopóki drzewa
Szumią, dopóki pachnie jałowice i mięta!
Milcz! Nie mówi się prawdy, lecz bez słów się śpiewa.
Kłamie ten, co zna słowa, a nut nie pamięta.
Jam z tych światów, gdzie w ogniu grzech, śpiewając, pląsa.
Gdzie płoną piersi, wargi i kły, chciwe strawy, —
Gdzie róża, krwią nabiegła, lilję białą kąsa,
I gdzie jeszcze brzmi w słońce zielony wrzask trawy!
Nie tłum owego wrzasku! Nie nęć mię w mrok głuszy!
Nie gardź mną, nie opuszczaj! — Porzuć swe zaświaty
Dla wspólnych zabaw ze mną!” —

Tak ciało do duszy
Mówi, a dusza — nikła i płochliwa mara —
Słucha jego poszeptów i przez łzy się stara
Kochać te same kwiaty, rwać te same kwiaty…

OTCHŁAŃ

Kiedy wnoszę do lasu znój mego żywota
I twarz tak niepodobną do tego, co leśne,
Widzę otchłań, co, skomląc, w gęstwinie się miota
I rozrania o sęki swe żale bezkreśne.

Rozedrgana zielonym, pełnym rosy płaczem,
Przerażona niebiosów ułudnem pobliżem —
Kona z męki i tęskni niewiadomo za czem,
I cierpi, że nie może na ziemię paść krzyżem.

I nie wie, do jakiego snu ma się ułożyć,
I szuka, węsząc bólem, parowu lub jaru,
Aby go dopasować do swego bezmiaru
I zamieszkać na chwilę i w ciszę się wdrożyć.

Czuję rozpacz jej nagą, czuję głód jej bosy,
Jej bezdomność, gałęzi owianą szelestem,
I oczy, które we mnie przez mętne szkła rosy
Widzą kogoś innego, niż ten, który jestem.

ZAMYŚLENIE

Kto wybaczy mi moją do wróżby niezdolność?
Nie wiem, co dziś pokocham — co jutro wyśpiewam?
I dłonią, jak sierść zwierza, głaszczę mimowolność
Pieśni, których warczenia w sobie się spodziewam.

Po warczeniu poznaję, że przybyły z lasów,
I oswajam je zwolna i uczę swej mowy,
Aż zamęt ich podziemnych szmerów i hałasów
Wyprzejrzyści się nagle w okrzyk lazurowy.

Gdzie jar ciemny, gdzie rozstaj — tam powiew mej duszy,
Gdzie szepty pocałunków — tam są usta moje,
Gdzie chata mrze od progu — tam mój kij pastuszy,
Gdzie plusk wioseł — tam serca wędrowne napoje.

Lubię szaty swe liche, gdy nawskroś przemokną
Deszczem, jak łzami pieśni, co, szumiąc, zamiera,
A nie śpiewam, lecz jeno słowami przez okno
W świat wyglądam, choć nie wiem, kto okno otwiera.

Niech się pieśni me same ze siebie wygwarzą,
Obym ich nie dobywał, ale w sobie dożył!
A nie chcę im górować, ni barwić się twarzą,
Jeno być niewidzialnym, jak ten, co mnie stworzył.

DO ŚPIEWAKA

Co w twych oczach, śpiewaku, ten zachwyt oznacza,
Ze tak badasz uważnie przez łez pozłocinę
Żabę, co, zieleniejąc, w skoku się rozkracza,
Jakby nogom roiła niechwytną drabinę?

Czemu tak się przyglądasz z miłości uśmiechem
Schwytanego świetlika szmaragdowej treści
I musze, co, kołując z starannym pośpiechem,
Zbacza nagle donikąd i mknie na bezwieści?

Wiem, ty — głowo w koronie z chwastów niejadalnych,
Z byle rośnej pokrzywy, z byle złego zielska!
Dusza twa nawpół smocza, a nawpół anielska
Nie bez celu się tarza w bujniskach upalnych!

Szuka swej podobizny, zgubionej przypadkiem
Przez tego, co ją nosił na piersi przed wiekiem, —
On jeszcze nie był bogiem, tyś nie był człowiekiem,
A już wzajem o sobie śniliście ukradkiem.

Jeszcze sobie pokrewni, podobni do siebie,
Jak dwie bratnie mgły, w jedno rzucone przestworze,
Nie wiedzieliście wówczas, co ludzkie, co boże, —
I któremu z was dano zawiekować w niebie.

Praczerwcowym dotychczas pijany upałem,
Ziołom oto przed chwilą dałeś pochwalonkę
I po trudach, podjętych wyćwiczonym szałem,
Coś pozyskał? — Motyla, żuka, czy biedronkę?

Kocham cię za twojego obłędu bezwinę,
Za czar twojej niemocy, za wspomnienia bratnie!
Spójrz, jak bledne śmiertelnie i bez żalu ginę,
Gdy mówię słowo: kocham — to słowo ostatnie.

XI

ŁĄKA

MIRIAMOWI

ŁĄKA

I

Czy pamiętasz, jak głowę wynurzyłeś z boru,
Aby nazwać mnie Łąką pewnego wieczoru?
        Zawołana po imieniu
        Raz przejrzałam się w strumieniu —
I odtąd poznam siebie wśród reszty przestworu.

Przyszły do mnie motyle, utrudzone lotem,
Przyszły pszczoły z kadzidłem i myrrą i złotem,
        Przyszła sama Nieskończoność,
        By popatrzeć w mą zieloność, —
Popatrzyła i odejść nie chciała z powrotem…

Kto całował mak w zbożu — nie zazna niedoli!
Trawa z ziemi wyrwana pachnie, lecz nie boli…
        Kocham stopy twoje bose,
        Że deptały kruchą rosę,
Rozróżniając naoślep chabry od kąkoli.

Niechże sen twój wędrowny zielenią poprzedzę!
Weź kwiaty w jedną rękę, a w drugą weź miedzę,
        Połóż kwiaty na rozstaju,
        Zwilżyj miedzę w tym ruczaju,
Co wie o mnie, że trawą brzeg jego nawiedzę.

Już słońce mimochodem do rowu napływa,
Skrzy się łopuch kosmaty i bujna pokrzywa, —
        Jeno pomyśl, że ci wolno
        Kochać łątkę i mysz polną
I przepiórkę, co z głuchym trzepotem się zrywa!

Idzie miłość po kwiatach — wadzi o twe ciało,
Zważaj, by ci przed czasem w słońcu nie zemdlało.
        W mojej rosie, w moim znoju
        Podostatkiem masz napoju
Dla wargi, przeciążonej purpurą dojrzałą.

Cień twej głowy do moich przybłąkał się cieni.
Wiem, że w oczach nie zdzierżysz tej wszystkiej zieleni,
    A co w oku się nie zmieści,
    To się w duszy rozszeleści!
Jeszcze dusza ci nieraz żywcem się odmieni.

Parna ziemia przez kwiaty żar dzienny wydycha,
Uschły motyl zesztywniał wśród jaskrów kielicha, —
    Oczarujmy się nawzajem,
    Zaskoczeni nagłym Majem, —
Maj się chyli ku nocy i miłość nacicha…

II

Nie nacicha ta miłość, co nie zna rozłąki!
Usta moje i piersi spragnione są Łąki!
    Tam mój obłęd i ostoja,
    Gdzie ty szumisz, Łąko moja!
Jakże pachną rozprute według ściegów pąki!

Rosą zwilżyj mi rzęsy, skostniałe od skwaru,
Zgłuchłe uszy orzeźwij falą twego gwaru,
    A ja w kwiatach spodem dłoni
    Na uzbieram różnej woni
I omyję twarz spiekłą w źródłach twego czaru.

Nie przeciwiąc się trawom, obnażę się cały,
Aby mnie tchnienia twoje, jak wierzbę, przewiały,
    A ty paruj tym oparem,
    Co pokłębił się nad jarem,
Niby przed snem zrzucony twój przyodziew biały.

Ucałować mi rąbki tego przyodziewu,
Że pełen twojej woni i twego przewiewu,
    I zawiesić mi go potem
    Na tej brzozie popod płotem
I zamierać pod brzozą od własnego śpiewu.

Dzisiaj chatę zamiotłem w jedno okamgnienie,
Z czworga kątów różami wypłoszyłem cienie,
    A próg, zdobny pajęczyną,
    Namaściłem suto gliną
I wodą moje pylne skropiłem przedsienie.

Jużem sobie nie szczędził radosnych zabiegów,
Wypiekając chleb z mąki, srebrzystszej od śniegów,
    A tę ławę, tę — dębową
    Przesłoniłem chustą nową,
Co się cała zieleni, krom czerwonych brzegów.

Będę czekał na ciebie z dłonią na zasuwie,
Zasłyszawszy twój szelest, z nóg zdejmę obuwie,
Wyjdę bosy na spotkanie,
Śpiewający niespodzianie,
A, śpiewając, pomyślę, że pacierze mówię.

Wyślij pierwej z nowiną co najlichsze ziele,
Potem sama się przybliż z kwiatami na czele, —
Pędząc przed się wonne kwiaty,
Wnijdź do wnętrza mojej chaty,
Bo chcę tobie sam na sam opowiedzieć wiele.

III

Weszłabym do twej chaty, gdy mgły się postronią,
Lecz nie wiem, czy się zmieszczę wraz z rosą i błonią.
Pierwej z niebem posąsiaduj,
Wszystkie cuda poodgaduj,
Nim napełnisz tę chatę miłością i wonią!

Jeszczem ja w żadnej chacie dotąd nie bywała,
Wiem tylko, że przez szyby widnieję — niecała.
Jakże cała poprzez drogę
Do twej chaty wbiegnąć mogę?
Od naporu zieleni runie ściana biała!

Nie umawiaj się ze mną pod żadnym jaworem,
Bym ciebie nie dosięgła szumem a przestworem, —
To, co szum wyśpiewa gwarnie,
Przestwór znajdzie i ogarnie!
A chata twoja stoi przede mną — otworem…

Mocniej zioła zapachną w cztery świata strony,
Gdy, zbliżywszy je do ust, spojrzysz w nieboskłony…
Czy ta sama noc na niebie
Osłoniła mnie i ciebie,
Czy dwie noce odmienne, dwie różne zasłony?

A jeżeli dwie różne o rożnem przezroczu,
Nie pokładźmy ich przeto w rosie — na uboczu,
Odmiemnemi zasłonami
Powiewajmy nad drzewami,
Byśmy siebie nawzajem nie stracili z oczu!

Ja tu — na dnie zieleni, pod powierzchnią rosy,
A ty tam, kędy dla mnie kończą się niebiosy,
Czy się kończą, czy nie kończą, —
Śpiewaj zowąd pieśń skowrończą,
Podzwaniając mi ostrzem rozbłyskanej kosy.

Kosą grozi twa miłość, co pożera kwiaty,
Sierpem zgarniasz do duszy mych maków szkarłaty,
Lecz miłości się nie boję,
Jeno w zgrozie ci dostoję,
Bo i Bogu jest słodki powiew mojej szaty!

Porwij-że mnie ku sobie, jeślić starczy mocy!
Lecz co pocznie beze mnie ten wicher sierocy?
Chyba wstrzymam dla poznaki
Popod chatą wszystkie maki,
Aby mógł mnie, gdy zechce, odnaleźć po nocy.

IV

Nie odnajdzie cię wicher, mrokiem ociemniały!
Rozweselił się błękit, gwiazdy pomłodniały!
Opętały moją głowę
Przywidzenia kalinowe,
Że rozkwitam tej nocy, niby krzew zuchwały.

A nie było na ziemi tak zmyślnego krzewu,
Noc się chwieje na strony od jego zachwiewu, —
Wonna liściem i żywicą
Stań-że, duszo, nad krynicą,
Spójrz, czyś dosyć podobna zielonemu drzewu?

Przystroimy się wzajem! Śpi w tumanie rzeka,
Śpi kałuża pod płotem, śpi sad i pasieka,
Baczmyż przez ten wieczór cały,
By się okna nie pospały
I drzwi chaty znużonej, co na radość czeka.

Przyjdzie radość tym szlakiem, który jej się zdarzy, —
Bądźmy zawsze gotowi i zawsze na straży.
Księżyc utkwi ponad studnią,
Gwiazdy w mroku się zaludnią
Snem, co jeszcze daleki, choć się zbliska marzy.

Za daleka mi byłaś wpośród kwiatów cienia
Łąko — zielona Łąko, szumna od istnienia!
Chcę, byś była taka bliska,
Jak ta łza, co gardło ściska,
Kiedy w niem się zapóźni śpiew twego imienia!

Zapóźniła się miłość, szukająca łona,
A któż taką spóźnioną na rosach pokona?
Straszno łodzią w świat popłynąć
I z miłości nie zaginąć
W tych falach, gdzie się tężą piersi i ramiona!

I w północnej ochłodzie dość dla mnie upału!
Idę, Łąko, ku tobie brzegiem mego szału
Ani zbrojny, ani konny,
Z ramion twoich wyjdę — wonny
I duchem zroszonemu uśmiechnięty ciału!

Sama chata rozwarła drzwi oścież ku wiośnie,
Wnijdź-że teraz pociemku — nagle i zazdrośnie!
Drzwi klonowe zamknę szczelnie
I zaśpiewam nieśmiertelnie,
A potem spojrzę w ciebie nawskroś i bezgłośnie!

V

Byłoż owo, nie było? Opowiedz nam, bracie,
Co się nocy dzisiejszej działo w twojej chacie?
Widzieliśmy, ludzie prości,
Niepojętość Zieloności
Za oknami — na ścianach i na twojej szacie.

Mówimy śpiewający, bo łatwiej przy śpiewie
Mówić o tem, co było, a czego się nie wie…
Psy, poległe nad potokiem,
Poglądały ludzkim wzrokiem.,
I wzrok ludzki był w gwiazdach i w tem ślepem drzewie.

A zasię w naszych oczach były gwiezdne znaki,
I nie mogliśmy poznać, gdzie ludzie, gdzie maki
Wszystko wokół było — gwiezdne
I odlotne i odjezdne,
Gromadzące się w białe nad ziemią orszaki.

I zdawało się wszystkim, że coś w niebie woła,
A zielona się światłość jarzyła dokoła,
Sny się wzajem pobudziły,
Ludzkie ciała opuściły
I pobiegły śnić w kwiaty i w najmniejsze zioła.

W nagłym pląsie skrzypnęły wszystkie kołowroty,
Zahuczały te groble, śpiewne od niemoty,
I w powietrzu było cudno,
Niby ludno, choć bezludno,
Jakby w niem się roiło od świąt i tęsknoty.

A na przeciąg tej nocy za sennem zrządzeniem
Każdy przezwał się innem wobec gwiazd imieniem,
Więc, gdy świt ozłocił dymy,
Ujrzeliśmy, że klęczymy,
Nie wiedząc, jak i kiedy zdjęci zapatrzeniem.

Powiedz nam, co się stało w tem polu, czy w lesie,
Że się dotąd czujemy, jakoby w bezkresie,
    A wyjednaj nam u kwiatów
    Rozszerzenie ziemskich światów
Aż po owe oddale, dokąd oczom chce się…

I objaśnij nam potem słów śpiewną wspomogą,
Co rozbłysło w twej chacie ponad ciemną drogą?
    Czy ją naszła piękna zmora,
    Wykrzesana z wód jeziora,
Czy sen owy, co śni się w polu bez nikogo?

VI

Ani zmora z jeziora, ani sen skrzydlaty
Lecz Łąka nawiedziła wnętrze mojej chaty!
    Trwała ze mną na tej ławie,
    Rozmawiając głośno prawie, —
Na ścianach moich — rosa, na podłodze — kwiaty…

Nie grążyłem ja w niebie ni steru, ni wiosła,
Lecz mnie radość swym prądem zmiotła i uniosła.
    Wieczność ku nam znikąd zbiegła,
    U stóp naszych, warcząc, legła,
A pierś moja tej nocy chabrami porosła.

I było już wiadomo, że pułap sosnowy
Wonnym deszczem, jak obłok, pokropi nam głowy,
    Bo nie snem się sny płomienia,
    Jeno deszczem i zielenią, —
Duch mi zbłąkał się w ciele, jak wpośród dąbrowy.

Przeto Bóg, co mnie stworzył, zbladł podziwem zdjęty,
Żem uszedł jego dłoniom w tych pokus odmęty!
    W kształt mię ludzki rozżałobnił,
    A jam znów się upodobnił
Kwiatom i wszelkim trawom i źdźbłom gorzkiej mięty.

Nawołujcie się ludzie, pod jasnym lazurem,
Chórem w światy spojrzyjcie, zatrwóżcie się chórem!
Miłość, wichrem rozpędzona,
    Wszystko złamie i pokona,
    Zaś tych, co się sprzeciwią, w śnie skrępuje sznurem!

A opaszcie świat cały ścisłym korowodem,
Aby wam się nie wymknął, schwytany niewodem…
    Zapląsajcie, zaśpiewajcie,
    Pieśnią siebie wspomagajcie,
Toć wejdziemy w świat — próżnią, aby wyjść — ogrodem!

Niechaj dusza wam będzie błękitami czynna,
Stoi przed nią otworem ta jasność gościnna,
    Czegokolwiek zażądacie,
    To się zjawi w waszej chacie,
Bo nastała godzina taka, a nie inna…

Ludzie — mgły, ludzie — jaskry i ludzie — jabłonie,
Rozwidnijcie się w słońcu, boć napewno płonie!
    Dla mnie — rosa, dla mnie — zieleń.
    Dla was — nagłość rozweseleń,
A kto pieśni wysłuchał — niech mi poda dłonie!